TYGODNIK KATOLICKI.

№ 28. Grodzisk, 15 lipca 1870. № 28.

Tygodnik katolicki wychodzi co tydzień w Piątek. Cena prenumeraty 1 tal. 20 sgr. ćwierćrocznie. Listy z zagranicy adresować należy do Poznania (Posen, Grand Duché de Posen). Redakcyja odbiera tylko frankowane korespondencyje. Rękopisy zwracają się tylko na wyraźne poprzednie żądania. Po użyciu ulegają niezwłocznie zniszczeniu.

Spis rzeczy: O nieomylności i t. d. — *Korespondencye:* Z Rzymu. — Z Dekanatu Śremskiego. — Ze Lwowa. — Materyalizm w obec nauki. — Drugi list ks. Piotrowicza. — Pan Kulczycki a Tygodnik katolicki. — Kilka słów z powodu powieści M. Bałuckiego: „Życie wśród Ruin“. — *Wiadomości potoczne.*

O nieomylności osobistéj Papieża w wyrokach co do wiary i moralności,

przeciw

ks. Doellingerowi.

Napisał ks. *F. Wartenberg.*

(Ciąg dalszy).

Tak miejsce to wykładają: św. Hilary, św. Ambroży, św. Cypryan, św. Hieronim, św. Chryzostom, św. Cyryl, Orygienes, Teofilakt, św. Grzegórz, św Leo papież; tak i św. Augustyn w księdze I. Retractationum c. 21. przychyla się do powszechnego zdania świętych, od którego był odstąpił w homilii nad Janem św.; tak i Sobór Chalcedoński zowie Piotra opoką Kościoła katolickiego. (L. th. Melch. Can. l. VI. c. 3. p. 186).

Miasto wykładu któregobądź z nich, przywiodę raczéj Korneliusza Janseniusza, biskupa z Ipri, który jak wiadomo odszczepił się od Kościoła, a jednak taki napisał komentarz: „Ty człowiecze, (mówi) mnieś Synem bożym nazwał; *Ja*, Syn boży, tobie odpowiadam nawzajem, i nawzajem *powiadam* nie wszystkim, lecz *tobie* samemu, nie próżną mową, lecz która skutek mieć będzie, *żeś ty jest Piotr*; t. j. że ty, jak niegdyś bardzo prawdziwie nazwanyś został odemnie, jesteś nie z imienia, lecz w saméj rzeczy opoką, skałą czyli kamieniem.... Po grecku bowiem *petros* i *petra*,*) (co następuje), jednoż znaczą. Lecz że o mężu mówił, wyrażono w rodzaju męzkim (petros); potem zaś w rodzaju żeńskim (petra), która forma jest zwyklejsza, *a na téj opoce*, *et super hanc petram*. I tym powtórzeniem.... i dodaniem słów: *aedificabo Ecclesiam meam*, zbuduję Kościół mój, — przez przenośnią, metaforę wyjaśnił P. Jezus nadto tajemnicę zawartą w imieniu Piotra: że nie nazwał go tak dla niepłodności (Luk. 8, 6.) lub dla innych przyczyn, lecz dla niewzruszonéj mocy, w któréj na podobę skały bozką wszechmocnością miał być utwierdzony tak, żeby ciężar tak wielki budowania mógł nosić. (Tetrateuch. cz: komentarz do Ewangelii św. u Devot'ego. Prolegomena in Jus Can. I. c. 354. not. 3.).

Sam Piotr wyznał P. Jezusa Chrystusem i Synem Boga żywego; do niego téż samego z pośród wszystkich Apostołów obrócił swą mowę P. Jezus, jemu samemu tę uroczystą obietnicę uczynił.

Jemu samemu daléj rozpowiada przywileje, które mu udzieli: „I tobie dam klucze królestwa niebieskiego; i cokolwiek zwiążesz na ziemi, będzie związane i w niebie; a cokolwiek rozwiążesz na ziemi, będzie rozwiązane i w niebie“ (Mat. 16, 19.). Prorok pański Izajasz przepowiedział, że Bóg Ojciec Synowi swemu Przedwiecznemu, wcielonemu odda klucze królestwa swego: „I dam klucze domu Dawidowego na ramieniu jego: i otworzy, a nie będzie, ktoby zamknął; i zamknie, a nie będzie, ktoby otworzył.“ (Izaj. 20, 22). A otóż te klucze domu Dawidowego t. j. królestwa niebieskiego oddaje Chrystus Pan Piotrowi św. z tąż jedyną na świecie a przedziwną władzą zamykania i otwierania duszom wrót niebieskich: tak, że co on rozwiąże na ziemi, rozwiązane będzie i w niebie, a komu otworzy bramę niebieską, nie ma, ktoby ją mógł zamknąć; i że, co zwiąże na ziemi, związane będzie i w niebie, a komu zamknie wrota niebieskie, nie ma, ktoby ją mógł otworzyć.

Czyż nie widoczna, że wszystek swój urząd i władzę wyrażoną przez symbol kluczy**), obiecuje tu Chrystus Pan zdać Piotrowi św.? urząd swój kapłański, urząd pośrednika pomiędzy Bogiem a ludźmi? władzę swą królewską w królestwie łaski, w naprzyrodzonym rzeczy porządku, w wiecznym „domu Dawidowym“?

Wielka wiara Piotra św. nietylko zyskała obietnicę Chrystusową, że na niéj miała być oparta moc wiary całego Kościoła i trwałość samegoż Kościoła mimo najazdów ciągłych mocy piekielnéj; lecz nadto zyskała Piotrowi obietnicę najwyższéj władzy w tym Kościele na nim zbudowanym. Spełnienie atoli téj obietnicy przywiązał Chrystus Pan do innéj cnoty, która „nigdy nie ustanie“ i dla tego „większa jest“

*) Tłómacz łaciński w Wulgacie przejął od tłomacza greckiego właściwie mu rozróżnienie: Petrus i petra, w czém jest grecyzm.

Chrystus Pan jak wiadomo mówił po syryjsku: otóż w texcie syryjskim Pisma św. jest jeden tylko wyraz użyty: *kefas* (skała). Podobnież w tłomaczeniach: arabskim, perskim, etyopskim, armeńskim, koptyckim, słowiańskim.

**) Podobnie jak *bramy* (portae inferi) w językach wschodnich są synonimem potęgi, przeto, że niegdyś w bramach miast wykonywano władzę najwyższą, odbywano sądy; tak wręczenie *kluczy* jest symbolem oddania władzy. I na Zachodzie nazywając Turcyą Portą Ottomańską nie inne do tego wyrazu przywięzujem znaczenie, jak potęgi. Klucze zaś wręczały i na Zachodzie miasta poddające się zwycięzcy, przyjmujące kapitulacyą.

(1. Kor. 13, 8, i 13.) nad wiarę i nadzieję, które ustaną gdy w niebie dusza ujrzy, i „pozna Boga twarzą w twarz“ i gdy miłośnie już obejmie tego, którego się spodziewała mieć kiedyś wedle zapowiedzi pańskiéj „jam jest nagrodą waszą zbytnie wielką“: spełnienie obietnicy danéj Piotrowi przywiązał Chrystus Pan do cnoty miłości na wieczny przykład wszystkim dusz Pasterzom, że bez miłości każdy z nich może być dobrym najemnikiem, lecz nie pasterzem, który duszę swą daje za owce swoje. Dopiero gdy po trzykroć, z wielką pokorą na zapytanie Chrystusa Pana, „Szymonie Jonów miłujesz mię więcéj aniżeli ci“, odpowiedział, że go miłuje, nie dodając jednak, że więcéj, pouczony smutnym doświadczeniem z upadku swego, aniżeli drudzy Apostołowie: wtedy Chrystus Pan porucza mu paść i baranki i owce swoje, a więc całą owczarnią swoję.

Chrystus Pan był przepowiedzianym przez Zacharyasza bozkim pasterzem, któremu zapłatę odmierzono trzydzieści śrebrników, (Zach. 11. 9 i 12.) tj. którego zaprzedano za tę cenę; którego „ubito, a rozproszyły się owce“, na którego „podniesiono włócznią“ i „przebito ręce jego“ (Zach. 14, 6 i 7): sam się téż zowie „dobrym Pasterzem“ (Jan 11, 14), a zapowiedział, że kiedyś „jedna tylko będzie owczarnia i jeden pasterz“. (Jan 11, 16).

Więc w miejsce swoje stawia Piotra św., i tylko jego: sam okazał, że jest *Pasterzem**) *dobrym*, bo „dał duszę za owce swoje“, co dowodem było najwyższéj jego miłości, gdy „większéj nad to nikt nie może mieć miłości“; „wracając do Ojca, od którego był wyszedł“, ustanawia miasto siebie Pasterzem całéj owczarni tego, który go najwięcéj kochał, a więc i naśladować go miał najwięcéj w miłości dla owieczek i że podobną śmiercią, jak Mistrz, ma za nie umrzeć na krzyżu, powierza Piotrowi św. paszenie i owiec i baranków swoich.

Każąc mu *paść*, nie tylko polecił wiernych karmić słowem prawdy i łaską sakramentalną, lecz i rządzić nimi, jak każdy pasterz to czyni i czynić musi, żeby na złą paszę nie rzuciły się owce i nie zatruły. Zresztą Pan Jezus niezaprzecenie miał sam tę moc rządzenia owcami; a więc i przekazał ją Piotrowi. Zresztą Pismo św. pasterzowanie**) wyraźnie oznacza jako rządzenie, kiedy o biskupach, onych pasterzach cząstkowych owczarni mówi: „Baczcie na siebie i na całą trzódkę, w któréj was Duch św. postawił biskupami, żebyście rządzili Kościołem bożym. (Dz. ap. 20, 28.). Piotrowi św. powierzone owce i baranki t. j. z osobna biskupi, kapłani i z osobna świeccy wierni, jak wykładają jedni Ojcowie; albo téż owce i baranki t. j. całą owczarnią i tych co już doszli „pełności wieku Chrystusa“, dojrzałe cnotą owiecki, i tych, których „mlekiem nauki karmić trzeba“, nowonawróconych, nieutwierdzonych jeszcze w cnocie i w doskonałości.“

Słuszna, zarzuci kto, P. Jezus św. Piotra obiecał uczynić namiestnikiem swym; uczynić go w miejsce siebie podwaliną, opoką Kościoła; dać mu władzę nadprzyrodzoną rozdawania łask zbawiennych i panowania sumieniom; dał mu pasterzowanie duszom krwią Chrystusa kupionym: ale gdy obietnicę tę spełnił, nie jemu samemu i wyłącznie dał tę władzę, lecz wraz z innymi Apostołami. I tak wszystkich Apostołów nie jednego Piotra postanowił podwaliną Kościoła, wedle słów Apostoła (Do Ef. 2, 20): „Przeto już nie jesteście goście i przychodnie, lecz spółobywatele świętych, i domownicy Boga, zbudowani na *fundamencie Apostołów i proroków, na węgielnym kamieniu, samymże Jezusie Chrystusie;* w którym wszystka budowa wzniesiona rośnie w świętą świątynią w Panu.“ I tak: na wszystkich apostołów przelał swe posłannictwo, które wziął od Ojca, i władzę, mianowicie nad sumieniami, wedle św. Jana: (20, 20.) „Gdy to powiedział, ukazał im ręce i bok. Ucieszyli się więc uczniowie, ujrzawszy Pana. Rrzekł im znowu: Pokój wam. *Jako mnie posłał Ojciec, i ja was posyłam. Weźmijcie Ducha św. Którym grzechy odpuścicie, będą im odpuszczone; a komu zatrzymacie, będą zatrzymane.“*

A jeżeli wedle słów Apostoła, Duch św. postanowił biskupów, żeby rządzili Kościołem Boga, który zyskał Chrystus krwią swoją (Dz. ap. 20, 28): tedy tym więcéj pasterzami byli Apostołowie, którzy tych biskupów w miejsce siebie stanowili w gminach chrześciańskich. Owszem pasterzami byli nie w pewnym jakim okręgu, jak biskupi, których stanowili dla pewnych miejsc, lecz mieli pasterstwo na cały świat, bo odebrali Chrystusowe pełnomocnictwo: „idąc tedy nauczajcie *wszystkie narody*, chrzcąc je w imię Ojca i Syna i Ducha św.; ucząc je chować wszystko, com wam przykazał: a oto ja jestem z wami po wszystkie dni, aż do skończenia świata.“ (Mat. 28, 20.).

Niezawodną prawdą jest, że Apostołowie byli pasterzami na cały świat, ale nie całego świata. Boć inaczéj, byłoby dwunastu sobie równych, najwyższych pasterzów całego świata: co jest absurdum. Kanony święte nie pozwalają, żeby w jednéj dyecezyi byli dwaj biskupi *ordynaryusze loci* dla niepodobieństwa pogodzenia atrybucyi najwyższéj władzy w dwóch osobach: cóż dopiero w 12stu Apostołach jakżeż to niepodobieństwo byłoby, jeśli wolno tak powiedzieć, daleko jeszcze większe. Apostołowie byli pasterzami na cały świat; bo byli posłani na wsze krańce, gdzie zaszli, tam mieli juryzdykcyą, mieli władzę. Ich następcy, których po sobie stanowili w pojedyńczych kościołach już byli przywiązani do miejsca, już nie byli pasterzami na cały świat, lecz raczéj w pewnéj dyecezyi, lub jak to dawniéj nazywali, w parafii. Całego świata chrześciańskiego był Pasterzem ten, któremu P. Jezus całą owczarnią poruczył, Piotr św. Lecz jego następcy, biskupi rzymscy, nie byli ograniczeni na tę jednę dyecezyą „wiecznego miasta“; bo nastąpili po tym, który, będąc biskupem rzymskim, był oraz Pasterzem świata całego.

---

*) Wyraz ten Pastrrz oznaczał w starożytności królów. Znana u Homera nazwa królów, *ποιμενες λαων*, Pasterze ludów. Że u żydów sam Bóg był Królem ich, przeto go Pismo św. wielekroć zowie Pasterzem.

**) Pasterzowaniem nazwana władza i urząd kościelny przeto, że naczelnicy Kościoła nie tak, jak książęta w świeckiém społeczeństwie, troskają się jedynie o ogół, lecz o każdą z osobna duszę wierną; podobnie jak pasterz o każdą z osobna owieczkę. Jestto władza Ojcowska, bo i ojciec o każde dziecię z osobna się troska.

Następstwo na Stolicy biskupiéj rzymskiéj nie ograniczało tedy Piotrowych następców władzy, jak u innych biskupów, następców, a więcéj jeszcze zastępców Apostołów innych; lecz owszem rozszerzało ją na wszystkie dyecezye całego świata, dając im nad nimi zwierzchnictwo.

Na to mamy téż z zamierzchłéj starożytności chrześciańskiéj z roku 180 po Chr. świadectwo św. Ireneusza, biskupa lugduńskiego, (szczęśliwa Francya, że ma takich świadków wiary swéj naprzeciw dzisiejszym Galikanom swoim!), świadectwo św. Ireneusza, który był uczniem św. Polikarpa, ucznia znów św. Jana Apostoła, — a więc jak najwiarogodniejsze.

„W 3ciéj księdze przeciw heretykom, mąż Boży od tych pouczon, o których wiadomo, że słuchaczami byli Apostołów, ważne przedewszystkiém i przesławne dał świadectwo o Rzymskim Kościele i o jego Biskupów następstwie, wiernym, ciągłym i najpewniejszym stróżu bozkiéj tradycyi. „„I do tego, powiedział, Kościoła dla przedniejszego pierwszeństwa potrzeba przychodzić każdemu Kościołowi, t. j. tym, którzy są zewsząd wierni.““ „*Atque ad hanc Ecclesiam propter potiorem principalitatem necesse est omnem convenire Ecclesiam, hoc est eos qui sunt undique fideles.*“

Niezawodną prawdą, że wszyscy Apostołowie, nie jeden Piotr św., odebrali Ducha św. i moc odpuszczania grzechów, chrzcenia, nauczania wiernych, a więc w pewnéj mierze równą łaskę i równą władzę. W pewnéj mierze, lecz nie w całkowitéj. Uderza to, że Piotrowi św. obiecuje klucze królestwa niebieskiego, i że cokolwiek on rozwiąże, będzie rozwiązane w niebie, i co zwiąże, będzie związane; nie obiecując zasię drugim Apostołom, lecz ich niejako do uczestnictwa w dopełnieniu obietnicy, danéj Piotrowi, dopuszcza. Więc bez Piotra nie mieliby téj władzy; odebrali ją gwoli Piotra, uczestnikami się stali obietnic Chrystusowych danych Piotrowi, a więc i władzy Piotrowi danéj. A i w tych słowach zlewających na Apostołów wraz z Piotrem św., nie ma téj zupełności, jaka przyobiecana była Szymonowi Piotrowi. Bo ani ich wszystkich nie czyni klucznikami nieba, nie daje im kluczy „domu Dawidowego“; ani w słowach „komu odpuścicicie grzechy, będą mu odpuszczone; a komu zatrzymacie, będą mu zatrzymane“, nie daje im mocy związywania i rozwiązywania w takiéj zupełności, jak kiedyś obiecał Piotrowi św., że „*cokolwiek* zwiąże lub rozwiąże na ziemi, będzie związane i rozwiązane w niebie“.

Czy atoli mógłby kto wątpić, że Piotr św. odebrał taką przeobfitą obietnicę, ale nie otrzymał jéj ziszczenia całkowitego, lecz jedynie cząstkowe, wraz z drugimi Apostołami? A przecież byłoby to czynić P. Jezusa kłamcą, słowo jego omylnym, niepotężnym ba marną cacanką lub przechwałką.

Widoczna tedy, że św. Piotr pełność władzy odebrał w królestwie bożém, i samoż królowanie, że był książęciem samychże książąt Kościoła, Apostołów.

Ten stosunek jest biskupów innych do biskupa rzymskiego. Odbierają oni tegoż Ducha św. co papież, toż święcenie i urząd biskupi, tęż władzę sakramentalną w królestwie łaski Chrystusowéj i panowanie nad duszami wiernymi: ale P. Bóg nie „daje kluczy domu dawidowego na ramieniu“ nikomu z nich, jedno następcy Piotra św.; i jemu jedynie dana władza stanowienia w Kościele cokolwiekbądź, bez ograniczenia przez władzę nadeń wyższą, owszem mając ograniczać moc u innych wykonywanie onéj od Boga, nadanéj im władzy*).

— Niezawodną prawdą jest, że Apostołowie wraz z prorokami są fundamentem téj budowy, któréj kamieniem węgielnym jest sam P. Jezus. Ale nie jest to dowód, że Piotr św. nie jest czymś więcéj dla Kościoła, niż reszta Apostołów.

Miejsce ono z listu św. Pawła do Efezów ma proste znaczenie to: że Chrystus jest środkiem dziejów; że do niego jako do oczekiwanego Mesyasza prorocy prowadzili ludzkość, a jako do rzeczywistego Zbawiciela i Odkupiciela prowadzą Apostołowie; że w Chrystusie budowała się i buduje się żywa świątynia Panu Ojcu niebieskiemu, wpiérw Synagoga, dziś Kościół św., któréjto budowy kamieniem węgielnym nadającym moc i trwałość samymże podwalinom — Apostołom i prorokom, — jest Jezus Chrystus.

Otóż środkiem takim wszystkich dziejów z całéj przeszłości i wszystkich czasów do końca świata niezawodnie nie mógł być kto inny, jak Chrystus, Syn Boży, Słowo Boże przedwieczne, w którym „jest pełność bóztwa cieleśnie“: na niego wskazywali prorocy, jego opowiadają Apostołowie; i on tylko, Chrystus — czy Synagogi, czy Kościoła i ich fundamentów, czy proroków, czy Apostołów jest i mógł być kamieniem węgielnym, on dawał im moc Ducha św., ducha prawdy i męztwa i mocy.

Lecz jeżeli Chrystus Pan był, jest i nie przestanie nigdy być kamieniem węgielnym Kościoła wszystkich czasów, nawet w wieczności: to w kolei czasów i na czas ten bieżący czyż nie mógł, czyż nie może obrać sobie kogo na zastępczy, że tak rzekę, kamień węgielny Kościoła?

Jeżeli tedy św. Piotr w obec Pana Jezusa, Pana wszystkich wieków, jest porówno z drugimi Apostołami i Prorokami fundamentem żywéj świątyni Boga, Kościoła św.; to czyż ztąd wypada, że nie może już być Namiestniczym kamieniem węgielnym jego? Czyż Piotr św. mógł sam ze siebie być choćby fundamentem Kościoła? A jeżeli nim być nie mógł, jedno przez ustanowienie Chrystusowe: czyż Chrystus nie był mocen uczynić go wraz z innymi fundamentem i oraz z osobna jego samego namiestniczym kamieniem węgielnym, utrzymującym w jedności i fundamenta i całą budowę Kościoła, żeby się nie rozprzęgła i nie upadła? czyż porównawszy go z innymi Apostołami w jedném, nie mógł go nad drugich wynieść w drugiém?

A że P. Jezus nie przyrównał Piotra św. do kamienia węgielnego, nie mniéj przeto rzecz pewna, że mu dał posłannictwo w kościele odpowiednie zadaniu, jakie ma kamień węgielny w budowie. Nie nazwał go wprawdzie kamieniem węgielnym, ale za to opoką, na któréj buduje swój kościół; a opoka pod fundamenty może więcéj jeszcze, niż kamień węgielny, przyczynia

---

*) Z téj pełności władzy swojéj Papieże słusznie rezerwują sobie wiele aktów juryzdykcyi kościelnéj. „Unde merito, powiada Sobór Trydencki, (sess. 14. r. 7.) Pontifices Maximi pro suprema potestate sibi in universa Ecclesia tradita, causas aliasque criminum graviores suo potuerunt judicio reservare.“

się do trwałości całéj budowy, samymże fundamentom dając niewzruszoną podstawę. Opoką kościoła jest Piotr sam jeden; fundamentem jest wraz z innymi apostołami; takoż biskup rzymski jako biskup, innym co do godności równy, jest wraz z innymi podwaliną kościoła; jako Papież, jest nad wszystkich, jest środkiem jedności i oparcia dla wszystkich innych, bo jest jedyną opoką kościoła.

Papież, widzieliśmy, jest pasterzem całéj owczarni, jest pasterzem pasterzy; jest klucznikiem nieba, ma władzę w całéj zupełności najwyższą a niepodzielną, ma królewskość w kościele; jest opoką kościoła, środkiem jedności, skupienia i trwałości całego kościoła i wszystkich jego części: słowem, ma z bożego ustanowienia prymat w kościele.

Jezus Chrystus, który wié, że wiara, którą się ma weń, jest podwaliną kościoła, natchnął Piotra wiarą, godną być fundamentem téj dziwnéj budowy: *Tyś jest Chrystus syn Boga żywego.* Przez to wzniosłe wyznanie wiary, zjednuje sobie nieomylną obietnicę, która go czyni fundamentem kościoła. Słowo Jezusa Chrystusa, który z niczego czyni, co mu się podoba, daje tę moc śmiertelnikowi. Nie trzeba mówić, nie trzeba myśleć, że urząd Piotra św. z nim się skończył. To, co ma służyć za podporę kościołowi wiecznemu, nie może mieć końca. Piotr żyć będzie w swych następcach; Piotr mówić będzie ciągle ze stolicy swojéj: oto, co mówią Ojcowie, oto, co potwierdza sześciuset biskupów na soborze chalcedońskim. Tak dobitnie przedstawił naukę kościoła o głowie jego, o Papieżu, znakomity *Bossuet* (*Sermon sur l'unité de l'Eglise T. 6.*), który tak jasno rzecz widział, jak tylko nie miał wzroku zaciemnionego namiętnością służalstwa dla króla Ludwika, któremu podobało się wywlec upiór gallikanizmu, niecny spadek po Filipie Pięknym.

Piotr żyć będzie w swych następcach, Piotr mówić będzie ciągle ze stolicy swojéj. A jak? czy omylnie? A pocóż by mówił tak, jak wszyscy ludzie inni mówią, uczą? Po cóż i na co wynosić jako coś wielkiego to mówienie ze stolicy, gdyby ono nie było jak Chrystusa Pana, o którym samiż Żydzi świadectwo dawali, że „mówi jako moc mający.“ Po cóż miałby Piotr mówić ciągle ze stolicy swojéj? a więc jako najwyższy nauczyciel kościoła, gdyby jego słowo, jak każdego innego śmiertelnika było omylne? Widoczna tedy, że tu Bossuet, późniejszy obrońca gallikanizmu, przyznaje jak najjaśniéj nieomylność Papieżom.

Nikt wątpieć nie może, że Papież wraz z biskupami zebranymi wyrokujący, jest nieomylnym; boć wtedy cały kościół w nich reprezentowany, którego są „fundamentem“ (Ef. 2, 20); a przecież „mocny fundament Boży stoi“ (2 Tim. 2, 19); a przecież kościół cały jest „kolumną i utwierdzeniem prawdy“ (1 Tim. 3, 13); bo wtedy przedstawiają oni całe kollegium apostolskie, któremu Chrystus Pan obiecał (u Mateusza św. 28, 20) że z nim będzie „aż do skończenia świata.“

Lecz tu nastręcza się zaraz pytanie, czy we wszystkich przywiléj ten nieomylności jest w równéj mierze, czy zasię w głowie kościoła, w Papieżu przeważnie, a w innych biskupach przez partycypacyą, przez związek z Papieżem?

Otóż w równéj mierze nieomylność nie jest dana biskupom i Papieżowi; bo powszechnie znaną i uznaną jest rzeczą, że Soboru powszechnego uchwały mają moc obowięzującą, i stają się nieomylną zasadą wiary nie wpiérw, aż zatwierdzone zostają przez Papieży, i w takiéj tylko mierze, w jakiéj je Papieże zatwierdzają.

Tak Soboru w Rimini Papież Damazy nie przyjął, i potępił jego uchwały, choć co do zwołania był ekumenicznym; tak Soboru w Konstancyi, powszechnego z powołania, uchwały, Papież Marcin V. zatwierdził w części tylko, i w téj téż tylko części są one nieomylnymi wyrokami.

Słusznie przeto kardynał Lambertini, późniejszy Benedykt XIV., w dziele de Synodo Dioecesana (l. XIII. c. 2. n. 3.) mówi: „Ztąd zaś, że biskupi na Soborze powszechnym są prawdziwymi sędziami, nie wnoś, że biskup rzymski zobowiązany iść za większą częścią sędziów i ich naukę zatwierdzić; albowiem, jak rozumuje *Melchior Canus* (loc. theol. l. 5. c. 5), choć wszyscy biskupi prawdziwie są sędziami, najwyższy atoli sąd poruczon od Chrystusa Pana swemu namiestnikowi na ziemi, i jemu zlecono do prawéj wiary nawracać, ilukolwiekby w błąd popadło, czy większa ich, czy mniejsza liczba; bo do Piotra Chrystus Pan powiedział (Łuk. 22, 3): *Prosiłem za tobą, żeby nie ustała wiara twoja, a ty kiedyś nawróciwszy się, nie jednego lub drugiego, lecz czy mało, czy wielu, utwierdzaj bracią twoją.*“

Nie w równéj mierze nieomylności dar poruczony biskupom i Papieżowi. Samemu bowiem Piotrowi dane były obietnice najwyższe, najobszerniejsze; drudzy apostołowie tylko przypuszczeni zostali do uczestnictwa w ziszczonych tych obietnicach: a więc wszelka władza i przywiléj dostały się im choć, podobnie jak Piotrowi, bezpośrednio od Chrystusa Pana, ale wżdy w łączności z Piotrem, i w zależności takiéj, że bez niego sami nicby nie byli odebrali.

Jasna tedy rzecz, że i najwyższy przywiléj nieomylności, biskupi, co następcami są nie tak na samychże stolicach apostołów, jak w urzędzie apostolskim, dostają przez uczestnictwo z łączności z następcą Piotra św., z następcą na jedynéj dziś niezheretyczałéj apostolskiéj stolicy, na stolicy książęcia apostołów.

Rzecz to niezawodnie jak najpewniejsza. Wszak apostołowie, a więc i biskupi są „fundamentem“ kościoła: ale przez cóż ten „mocny fundament boży stoi?“ czy nie przez to, że oparty jest na opoce niewzruszonéj kościoła, którą P. Jezus uczynił Piotra św.? P. Jezus nie był mniéj mądrym od tego człowieka, o którym mówi w przypowieści (u Łuk. 6, 48), a który kopał głęboko, aż się dokopał opoki „i położył fundament na opoce“ (*et posuit fundamenta supra petram*), tak, że choć przyszła powódź, nie mogła domu poruszyć, czemu? — „bo ugruntowan był na opoce,“ (*fundata enim erat domus supra petram*).

(Dokończenie nastąpi).

KORESPONDENCYE.

X) **Rzym** *8 lipca.*

Choć w krótkich słowach podzielę się z wami nowiną, że już dyskusya co do nieomylności skończona. To uwagi godna, że mówcy zapisani w ogromnéj jeszcze liczbie dobrowolnie zrzekli się głosu. Ks. Arcybiskup paryzki Msgr Darboy nie chciał od razu ustąpić z pola walki; z nim chwiała się i opozycya z francuskiego episkopatu, lecz na to z większości odpowiedzieli Prałaci: jeżeli wy mówić będziecie, to my wam odpowiadać będziemy. Ustąpili nakoniec i ci. W największym, najmilszym spokoju skończyła się tedy ta tak rozgłośna i roznamiętniająca kwestya. Wiele będzie głosów *juxta modum;* więc jeszcze pociągną się kongregacye, żeby ująć orzeczenie dogmatyczne we formę odpowiadającą o ile można wszystkim Ojcom Soboru. Drugie posiedzenie publiczne odbędzie się w ciągu dwóch tygodni. Można naprzód wiedzieć, jaka będzie radość i wspaniałe uroczystości w mieście wiecznėm; a spodziewać się należy, że i w całym świecie katolickim, z wyjątkiem może niemieckich uniwersytetów, w których półbogi nauki niemieckiéj nie chcą ustąpić nieomylności na rzecz jednego powszechnego Doktora całego Kościoła.

Biskupi galicyjscy już mają pozwolenie wyjechać. Ks. Arcybiskup lwowski, któremu się skwary rzymskie nie mało dają we znaki, może wyjedzie nawet przed sesyą publiczną, a więc prędzéj, aniżeli sobie zamierzył, jeżeli mu wytrzymać nie będzie podobna. Także ks. biskup tarnowski już na wyjeździe. Zdaje się, że kardynał Rauscher stara się zatrzymać episkopat austryacki i węgierski aż do chwili ostatniéj, stanowczéj. Ks. prałat Sosnowski już wyjechał. Jak się dowiaduję, odpisał już *Dziennikowi poznańskiemu* za zbieranie składek podjętych bez jego wiedzy i zezwolenia.

Skwary w Rzymie wielkie: mimo to cudzoziemców nie braknie, nawet w południową dobę, kiedy żar z nieba pada. Najwięcéj zawsze Francuzów.

Księżna Odescalchi, protektorka szczególna kollegium polskiego, wyjechała do Krakowa; a że wątłego jest zdrowia i prawie cudem się tylko utrzymuje przy siłach do życia, w drodze zapadła w chorobę. Lecz spodziewamy się, iż już dojechała do celu swéj podróży.

Wielu biskupów, pomiędzy nimi ks. Arcybiskup Ledóchowski na trzecim miejscu, z kardynałem Bonaparte na czele wydało odezwę do wiernych gwoli zbierania składek na pogorzelców w Konstantynopolu.

Msgr Malczyński, dawny wychowaniec propagandy na ostatnim konsystorzu przemyskim wraz z ks. Arcybiskupem Sembratowiczem i biskupem Hirschlerem prekonizowany został na biskupa *Alesso* w Albanii: przeszedł on z obrządku greckiego na łaciński Jeden z księży wygnańców, ks. Krypiakiewicz, Unita dostał nieszczęśliwy pomięszania zmysłów.

Z Dekanatu Śremskiego.

Paweł św. pisząc do Tymoteusza (II. 4. 5.) upomina go: *tu vero vigila,* bądź czujnym. Czujność pasterska to jest właściwa *cura, sollicitudo pastoralis,* to jest ta troskliwość pasterza o owieczki swéj pieczy powierzone, troskliwość, która czuwa i pilnuje, aby się nic złego nie wkradło do trzody. Jeśli wszędzie i zawsze potrzebna była ta czujność i troskliwość, to dziś tém jest konieczniejszą. Tyle chuci złych, tyle sposobności do złego, tyle pism bezecnych, które złość i namiętności pomiędzy ludzi rozrzucają. Ostrzegał Piotr i Paweł św. wiernych wtenczas, kiedy druku nie było, przed przewrotnymi pismami, ale cóżby dzisiaj powiedział, gdzie przez druki tyle się rozsiewa pism gorszych i szkodliwszych? Świat dzisiejszy goniący za oświatą, chciwy nowości, czyta wszystko, co się drukuje i niejeden wybiera to, co więcéj jego schlebia namiętnościom. Słuszna téż dziś i chwalebna dążność gorliwych katolików jak *Czytelni chrześciańskiéj, Warowni krzyża, Wydawnictwa X. Bażyńskiego,* aby podać publiczności do czytania książki, niekoniecznie religijne, ale obyczajowe, budujące i godne czytania. Czujność pasterska zawsze na czytającą publiczność pilnie powinna uważać, śledzić, czy gdzie niema jakiéj książki bezecnéj i gorszącéj, wskazywać dobre dzieła i prace, podsuwać mimo woli nawet książki wyborowe, urządzać, jeśli się to da, czytelnie. Ta troskliwość nie tylko o czytelniach ludowych pamiętać powinna, ale tém większéj pewno potrzeba czujności około każdéj innéj czytającéj publiczności. Lecz jeśli tu pilnie pasterz dochować chce swego obowiązku, sam przedewszystkiém musi czytywać, musi się zająć czytaniem. Kapłan dziś już tém samém, że jest kapłanem, musi być człowiekiem książkowym, literatem, bo dziś cały świat jest takim i koniecznie trzeba złe rugować tam, gdzie powstaje, gdzie się wzmaga.

Takie zadanie widziało przed sobą duchowieństwo średniowieczne, a czyż dzisiaj, kiedy świat postąpił w oświacie, duchowieństwo nie ma również postępować?

W obec tylu pism bezecnych, w obec tylu wiadomości niegodziwie wymyślonych, cóż powie kapłan, jeśli go kto zaczepi? Bezwątpienia, że każdy i rozumie i pojmuje to zadanie kapłana, i każdy pasterz pewno wié, skąd nieraz taka oziębłość w religii, takie lekceważenie rzeczy świętych. Społeczeństwo dzisiejsze upojone zasadami humanizmu, choć może nie z czystéj miłości bożéj, jednakże, trzeba przyznać, wiele zajmuje się ubogimi i opuszczonymi i X. Krukowski w swéj *Teologii pastoralnéj* dobrze zauważył, że piecza o ubogich, chorych i opuszczonych już dzisiaj takim ciężarem nie przygniata dusz pasterza, jak dawniéj; dziś są spitale, domy chorych, ochronki, dziś prawo świeckie kładzie obowiązek na gminę opiekować się nieszczęśliwymi. Lecz, doznając z téj strony ulgi, z drugiéj strony tém większego musi użyć starania. Humanizm dzisiejszy pełen dobroczynności ale bez religii, a do tego piśmiennictwo tę zarazę niewiary szérzy ciągle i coraz daléj i głębiéj. Tu więc pasterz swą troskliwość pokazywać winien, inaczéj mimo swéj największéj gorliwości nie będzie obfitych widział owoców swéj pracy. Czytelnie ludowe dziś mogą wszędzie być zaprowadzone i to z niewielkim kosztem za pośrednictwem Towarzystwa św. Wincentego á Paulo, które pożycza książek do takiéj czytelni. Tu tylko trzebaby pilne dawać baczenie, by lud sam sobie nie kupował książek po jarmarkach i odpustach; tam bo-

wiem znachodzą się książki protestanckie, pismo św. i niby książki do nabożeństwa za pozwoleniem zwierzchności drukowane; daléj i obrazy, czyli raczéj bohomazy, ledwie twarz ludzką przypominające. Oto niedawno zdarzył mi się wypadek, że włościanin chciwie czytający kupił na odpuście książkę bez tytułu do czytania, do któréj dołączony obraz niby religijny, ale nie katolicki. Dobrze tylko, że, wprzód nim zaczął książkę czytać i obraz dał oprawić, przyszedł się zapytać, czy to można; że pismo św. wydanie berlińskie towarzystwa Gustawa Adolfa nieraz lud sobie kupuje, to pewno niejeden o tém się przekonał. Daléj doszedł téż do nas, wprawdzie nie do chat wieśniaczych, *Diabeł krakowski*, który wierny swéj nazwie gorliwie popiera sprawę piekielnego królestwa. Pismo to chce publiczność wesoło nastroić, wymusza dowcipy, ale że je wymusza, więc téż niesmak i niezadowolnienie obudza w czytającym. Obok dowcipów niebardzo estetycznych wychodzi na jaw złość po szatańsku, krzywdząca dobre imie, uszczypliwość sarkastyczna, lekceważenie, naśmiewanie się z kościoła. Mam obecnie dwa numera przed sobą: w jednym przedstawia obałamucenie katolików z powodu ogłoszenia dogmatu o nieomylności Papieża; katolicy to zdaje się ludzie nie mający swego zdania, niewiedzący czego się trzymać, w co wierzyć, bo ze wszech stron przekleństwa kościoła słyszeć się dają; wierzysz w nieomylność jesteś przeklęty, powiesz: nie wierzysz, też jesteś przeklęty. W drugim numerze takie „na wnioski diabła przyznane zostały z komitetu piekielnego nagrody: podczas wystawy kościańskiéj *Tygodnikowi katolickiemu* za nacechowane czysto szatańską miłością bliźniego polemiki — weksel na duszę Żylińskiego. Panom, którzy przez zakupywanie i utrzymywanie luksusowych koni dobrobyt i oświatę ludu podnieść usiłują — dobrze obgryzione gnaty honorowe z pod stołu braci Murawiewa. Pannom Sercankom za wbijanie gwoździ w główki posażnych panien — portret carycy Katarzyny“ itd. Daléj pod nagłówkiem „nasze sługi“ pisze w dyalogu: Kasia: „Proszę Pani, dziękuję za służbę. Pani: A to z jakiego powodu? czy krzywdę masz u mnie? przecież dopiero wczoraj przyszłaś. Kasia: Tak proszę Pani, ale wczoraj nie znałam jeszcze Pani, a jakbym powiedziała księdzu na spowiedzi, że służę u aktorki, to by mi rozgrzeszenia nie dał.“ Takie i tym podobne dowcipy snują się po diabelskiém piśmie; czy kogo do śmiechu pobudzą, nie wiem; ale zawsze smutna, iż diabeł dosyć znany u ludzi, którzy roszczą pretensye do świata wyższego, do myślącego społeczeństwa, ale którzy prócz swego fachowego wykształcenia, powiedziałbym rzemiosła, żadnéj nie znają nauki. Wyższym warstwom znany téż *Tydzień*, który swémi korespondencyami o soborze bardzo rani uczucie katolickie; tamby konieczny był *Tygodnik katolicki*, aby naprawił to złe. Więcéj jednak baczności potrzebują katolicy Niemcy. Położenie ich w okolicy polskiéj i wśród samych tylko Polaków nieraz przykre, bo, nieumiejąc po polsku, szukają towarzystwa niemieckiego, chodzą do protestantów, z nimi się dzielą swémi wiadomościami, od nich słyszą niejedno, czytają ich dzienniki i pisma. Że wielu z tych katolików Niemców nieraz nigdy innego nie ujrzy dziennika jak *Ostdeutsche*, *Posener*, to rzecz pewna, a oprócz tego czyta kalendarze Gustawa Adolfa, o których *Tygodnik* niedawno wspominał, a co gorsza książki jak *Isabella oder die Geheimnisse des Hofes zu Madrid* i ukute romanse jak *Barbara Ubryk*; czytają to, bo chcąc czytać innych nie mają pod ręką, a takie każdéj chwili dostać mogą. Przykre zaiste położenie takich katolików, ale pasterz tu koniecznie swą troskliwością zasięgnąć musi, aby wytrącić z ręku takie bezecne pisma. Oba te piśmidła Izabella i Barbara Ubryk tak są bezecne i bez wstydu niemoralne, że niepodobna bez oburzenia czytać. Prawda, że wspomina często, iż chce historyczną mówić prawdę, ale zdaje się, że więcéj szatańskiego pilnuje poselstwa, aby rozbestwić chucie i namiętności. Jezuici i zakonnicy, to rozpasane bydło, innego niema nazwiska tylko „diese Schurken“ albo „diese Sippschaft“ a z oczu ich i czoła to sama namiętność i podstęp tylko tryska. Niemniéj wyśmiane tu obrzędy kościelne, jak procesye, imiona świętych bluźnierczo wspominane.

Tu tedy prawdziwéj potrzeba czujności, a ta czujność tém więcéj nas obarczająca pracą, bo trzeba w tym mnóstwie pism umieć rozróżnić dobre od złych, trzeba znać dobre i złe, co więcéj trzeba znać i widzieć, gdzie jest naprawa złego, sprostowanie kłamanych wiadomości; tu trzeba być w téj czujności, jak wąż, przebiegłym, aby umieć podać środek przeciw téj truciźnie, a temu nie podoła, kto sam czytać nie lubi, kto nie umie i nie chce zająć się umysłową pracą. Bez takiego czuwania pasterzowanie dzisiaj nie byłoby gorliwe, nie byłoby sumienne.

(br) **Lwów.**

(Dokończenie.)

Również oszczerstwem jest twierdzić, iż wierni obrządku łacińskiego, ogólnie mówiąc, albo przynajmniéj galicyjscy w szczególności, brzydzą się, lub pogardzają obrządkami czy to wschodniemi ogólnie mówiąc, czy naszych prawowiernych Rusinów w szczególności. Bo że inne narody, które są obrządku łacińskiego, nie tylko nie gardzą, ale owszem i szanują wschodnie wiernych obrządki, ukazują i te kościelne ubiory, które dla Biskupów wschodnich Soborowi rzymskiemu przytomnych łaciniczki z Belgii Ojcu św. przysłały: jako téż, iż niemniéj Biskupi wszystkich wschodnich obrzędów mają na ogólnych Soboru posiedzeniach, dla wszystkich Ojców, Msze św. w swych obrzędach: wreszcie i poufałe a braterskie przestawanie Biskupów łacińskich ze wschodnimi w Rzymie podczas teraźniejszego Soboru, na którym Ojcowie, nie według obrzędów, ale według dawności ich wyświęcania siedzą. Że zaś nasi galicyjscy łacinnicy nie tylko nie gardzą obrzędami naszéj prawowiernéj Rusi, a tém mniéj nią samą i czcigodnym jéj klerem, ale owszem szanują i kochają, już ztąd widać, iż ruskim księżom nie tylko pozwalają, ale ich nawet, choć żadna potrzeba do tego nie zmusza, i zapraszają, aby w naszych kościołach i na naszych ołtarzach Mszą św. według swego mieli obrządku, gdy tymczasem już nie jeden z ruskich księży po wioskach, nie pozwolił nawet naszym ks. kanonikom w przejeździe mieć w cerkwi Mszy św., co ja sam z ust tych słyszałem, którym się to wydarzyło. Tęż prawdę ukazuje i konkordya, w któréj nasi

łacińscy hierarchowie, aby ruskim dogodzić, zezwolili, nie tylko na nowy i dotychczas w Galicyi nie znany i nadto wcale niepraktyczny we wspólnych obydwóch obrządków procesyash porządek, ale nawet z wielką dla swych po wioskach owieczek niedogodnością, aby komunia św. chorym nie według przyjmującego, lecz udzielającego obrzędu była dana: który przepis samych tylko łacinników po wioskachna, iż najmniéj powiem, na nieprzyjemność naraża; bo gdy nasza prawowierna Ruś w każdéj prawie wiosce ma własnego księdza, łacinnik musi częstokroć o kilka mil po swego posyłać. Też prawdę i to wskazuje, iż niejedna ruska cerkiewka, a to i za naszych czasów, po wioskach, albo jedynie, albo przynajmniéj po wielkiéj części kosztem łacinników powstała.

Ale na udowodnienie, że łacinnicy gardzą obrzędami wschodnimi, a ztąd i naszych prawowiernych Rusinów, pisarz tego artykułu to przywodzi, iż oni się przechwalają tém, że ich obrządek jest wyższy i wydatniejszy, niż ruski. Nie przeczę temu, jeśli mowa jest o niektórych, nie zaś o wszystkich łacinnikach, ale trzeba znać naturę ludzką, aby to im przyganiać; bo z jednéj strony, komu proszę swoje własne nie jest lepszém, milszém i droższém, niż cudze? a z drugiéj strony, czy większy jednéj rzeczy szacunek musi w sobie koniecznie zawierać wzgardę innéj, nie w brew przeciwnéj, ale tylko różnorodnéj? czyż nie może on być z szacunkiem, choć mniejszym, drugiéj różnorodnéj rzeczy połączony? A samiż nasi Rusini, czy nie przechwalają się tém, iż obrządek ich ma być lepszy, wspanialszy, starszy, niż łaciński, a to nietylko w prywatnych rozmowach, czego ja sam nieraz byłem świadkiem, ale i w publicznych pismach? Czy pisarz tego pisma, który przynajmniéj o kilkanaście lat jest odemnie młodszy, tak słabéj jest pamięci, iż nie pamięta jak JJ. XX. Naumowicz i Terlecki usiłowali i w *Zorzy* i w *Słowie* dowieść, iż obrządek wschodni jest daleko lepszy, świetniejszy, zacniejszy starszy, niż łaciński, używając do tego czasami i śmiesznych nawet powodów, jak np., iż kler wschodni jest podobnym P. Jezusowi, bo brodę i długie włosy nosi, a łaciński, nie mając ich, nie jest P. Jezusowi podobnym, właśnie jakoby P. Jezus w tém od nas podobieństwa z sobą wymagał, gdy po umywaniu nóg uczniów swych na ostatniéj wieczerzy do nich, a tém samém i do nas, rzekł: „Dałem wam przykład, abyście, jakom ja uczynił, tak i wy czynili.“ (Joan. XIII. 15), albo gdy u Mateusza św. rzekł: „Uczcie się odemnie, żem jest cichy i pokornego serca.“ (Matth. XI. 29), albo jakoby Piotr św. w tém od nas podobieństwa do P. Jezusa wymagał, gdy do wiernych pisze: „Chrystus ucierpiał za nas zostawując wam przykład, abyście naśladowali tropów jego.“ (1. Petr. II. 21.), lub św. Paweł, gdy do Koryntów pisze: „Proszę was tedy, bądźcie naśladowcami mojémi, jakom i ja Chrystusów.“ (1. Cor. IV. 16.)? Również zarzut, który pisarz ten na udowodnienie swego fałszu, iż łacinnicy gardzą i nie lubią Rusi naszéj prawowiernéj, przytacza „Łacinnicy nas o skłonność do schizmy posądzają“ jest oszczerstwem, jeżeli mowa jest o całéj masie lub czcigodnego kleru, lub prawowiernego ludu ruskiego; bo łacinnicy zbyt dobrze pamiętają liczne, okrutne i barbarzyńskie prześladowania i męczarnie, które Ruś nasza prawowierna dla Unii św. w Rosyi za czasów Katarzyny II. i Mikołaja I. poniosła, i teraz jeszcze pod Aleksandrem II. ponosi, aby o ich szczeréj miłości i serdeczném przywiązaniu do Unii św. wątpić mogli. Jeśli zaś mowa jest o niektórych, nielicznych, w szczególności naszych teraźniejszych w Galicyi Rusinów, jak np. o redaktorach a po części i korespondentach tak dawniejszéj *Zorzy* jak teraźniejszego *Słowa*, tedy temu bynajmniéj nie przeczę, ale przytém uwagę czytelnika na to zwracam, iż to ich posądzanie o skłonność do schizmy tych panów bynajmniéj nie jest płoche, a tém samém bynajmniéj, czy sprawiedliwości, czy miłości chrześciańskiéj ku bliźnim przeciwne, będąc oczywistém zdrowego rozumu wymaganiem. Bo jak, proszę, może człowiek rozsądny tych mieć za szczerych Unitów, a ztąd za nieprzyjaciół, nie samychże schizmatyków, gdyż i tych jako bliźnich kochać powinniśmy, ale saméj schizmy, którzy z uwagą i z umysłu, aby Unią św. prawowiernym naszym Rusinom ohydzić, od lat już 20stu z górą wciąż czernią nie tylko wiernych obrządku łacińskiego i ich kler, zwłaszcza Ljachów, ale i własny swój zamojski Synod i wszystkich swych prawowiernych Metropolitów i Biskupów, nie przepuściwszy nawet śp. Jks. Metropolicie Joachimowiczowi, choć go ojcem narodu zowią, przeto, iż obietnicą Synodu sparaliżował zapał obrjadowców: którzy śmieją oszczerczo twierdzić, iż Ojciec św., jako i jego poprzednicy na Stolicy św., obchodzi się z naszymi Rusinami nie jako z własnymi swemi dziećmi, ale jako z pasierbami, nie jako ze swemi synami, lecz jako z niewolnikami: którzy śmieją prawowiernym naszym Rusinom wmawiać, że Unia im nie tylko nie jest bez pożytku, ale nawet i szkodliwą: którzy przeciwnie zalecają schizmy moskiewskiéj i obrzędy i miłość braterską. Również sam rozum zmusza posądzać o skłonność do schizmy i obrjadowców: nie tych, którzy płocho i bez uwagi dali się nowością do urojonego oczyszczenia swego obrządku, nie postrzegając dokąd to zmierza, porwać, ale tych, którzy dobrze wiedzą dokąd to dąży, rej w tém prowadzą. Bo cóż u nich jest latinacyą św. wschodnie obrzędy szpecącą? Czy mają oni za oszpecenie św. swych obrzędów, iż Boże Narodzenie nie w styczniu, lub kwietniu, lub w maju, jak ich najdawniejsi Ojcowie, ale razem z nami 25. grudnia obchodzą? Czy liturgia prezóleoswjaszczenych (Praesanctificatorum) szpeci św. ich obrządek? Czy wielkie dzwony również im są, jak małe dzwonki, zeszpeceniem obrzędów wschodnich? Bynajmniéj, i owszem ozdobą, a przecież to wszystko jest latinizacyą, czyli naśladowaniem łacinników, jak o tém świadczą, co do pierwszego św. Jan Złotousty w jednéj ze swych homilii na Boże Narodzenie: co do drugiego sam ich mszał, który tę liturgią przypisuje Papieżowi św. Grzegorzowi W., którego oni dwoje słowem zowią: a co do trzeciego historya; bo dzwony wielkie nie na Wschodzie, ale na zachodzie są wynalezione, a gdy we Włoszech i we Francyi ich po kościołach już V. i VI. wieku używano, Wschód pierwszych 12. od Doży weneckiego cesarzowi Michałowi III. przysłanych, ledwo w IX. wieku ujrzał, i ledwo w r. 871 zaczęto w Carogrodzie ich, z rozkazu cesarza Bazylego macedończyka, w kościołach używać, a sam sposób dzwonienia w Rosyi, a zwłaszcza tak zwany trezwon jawnie okazuje, iż z Włoch są wzięte. Czemuż ta latinizacya nie szpeci naszym obrjadowcom św. wscho-

dnich obrzędów? Oto jedynie przeto, iż i u synodalnéj moskiewskiéj schizmy są w zwyczaju. Czemu przeciwnie naszym obrjadowcom strasznie są szpecącą latynizacyą: ołtarze bez ikonostasów*), nakaz aby przed Najśw. Sakramentem na kolana upadać i aby Go w monstrancyi ku uczczeniu wiernym wystawywać, żeby Go dla chorych co 8 lub 15 dni, nie zaś raz tylko w roku, w wielki czwartek poświęcać, jak to schizma moskiewska czyni, skrapiając przytém Ciało Pańskie krwią Najśw. a potém je na węgłach susząc, albo téż, aby i jeden kapłan udzielał ostatnie pomazanie, jeśli siedmiu, lub przynajmniéj trzech mieć nie można: wreszcie zakaz dolewać do Krwi Pańskiéj, przed komunią, wody ciepłéj, którą schizma teplotą zowie, lub patenę i kielich nie gębką, lecz pontifikaterzem oczyszczać, co wszystko własny ich Synod zamojski, od Ojca św. Benedykta XIII. potwierdzony, przepisał? czy ukażą obrjadowcy jaki Synod powszechny, lub którego z dawnych prawowiernych św. Ojców wschodnich, którzyby zakazali lub zganili przynajmniéj, co Synod zamojski pozwala lub nakazuje, albo żeby oni przepisali to, co Synod ten zakazuje? A więc nie co innego jest obrjadowcom powodem, aby to mieć za latynizacyą szpecącą św. obrzędy wschodnie, iż to wszystko wbrew jest przepisom i zwyczajom synodalnéj moskiewskiéj schizmy.

Że również pisarza tego twierdzenie: „iż łacinnicy bez przestanku swych naśladowców u nas werbują tak, iż liczba Unitów w Galicyi coraz się zmniejsza a łaciników się podnosi“ jest fałszem, samże ten nieuważny pisarz ukazuje, gdy w 27. numerze *Słowa* świadczy, iż ruska lwowska metropolia liczy 1,454,752 wiernych, gdy łacińska lwowska archidyecezya ich tylko ma 530,208, choć archidyecezya łacińska jest daleko obszerniejszą, niż ruska metropolia, gdyż nietylko ją całą, ale nadto i część ruskiéj przemyślskiéj dyecezyi w sobie zawiera.

*) Ikonostasow, czyli tych w kościołach ruskich przegród, które ołtarz od reszty kościoła oddzielają i ze strony kościoła obrazami są pokryte, nikt, ani żaden Papież, ani Synod zamojski, ani jaki Metropolita lub Biskup prawowierny nigdy nie zakazał, choć ich i sam Wschód przed potępieniem obrazoborców, a zatém przed końcem VIII. wieku, nie znał, jak się z historyków kościelnych greckich ukazuje. Zkąd to więc pochodzi, iż niemała część naszych ruskich prawowiernych kościołów ich nie ma? czy to jest, jak obrjadowcy chcą, latinizacyą, czyli naśladowanie łacińskiego obrządku, przyczyną temu? czy nie raczéj skutkiem słusznego poczucia uszanowania i szacunku tak Świętych, jak cerkiewek swych prawowiernéj naszéj Rusi? Ikonostas bowiem, jak według tegoż pisarza, być powinien i w dawnych ruskich kościołach się znajduje, podnosząc się aż do samego sklepienia, kilkadziesiąt wymaga obrazów ze starego i Nowego Testamentu, a ztąd pędzlem, choć nie mistrza jakiego wielkiego, ale przecież dobrego malarza i wybornemi farbami sporządzony, zbyt jest kosztowny, aby nasze, zwłaszcza dawniejsze, ruskie po wioskach parafie, które ledwo kilka set biednych liczyły wieśniaków, mogły się nań zdobyć, mieć zaś ikonostas ręką partacza i lichemi farbami malowany, który postawą, rysami twarzy i farbami jest raczéj karykaturą, niż wyobrażeniem Świętych, i nie do nabożeństwa, lecz do śmiechu raczéj pobudza, wcale przeciwném jest temu uszanowaniu i ku Świętym i ku kościołom, którém się nasza prawowierna Ruś odznacza.

Nie od rzeczy téż będzie do zbicia tego fałszu temu tak krótkiéj pamięci pisarzowi, iż na to zapomina, co sam kilku dniami ledwo pierwiéj napisał, przypomnieć, że nasza Galicya wschodnia nieraz była przez Tatarów i schizmatyckich kozaków zupełnie prawie spustoszona, znowu tysiącami kolonistów z Polski i innych krajów sprowadzonych, którzy łacińskiego byli obrządku, zaludnioną, którzy coraz więcéj się rozmnażając, liczbę łaciników musieli, bez najmniejszego obrządku ruskiego uszczerbku, pomnożyć.

Wreszcie i to pisarza tego twierdzenie: „Bracia nasi prawosławni nie kochają nas tą miłością, którą nas kochali, gdyśmy z nimi jednéj byli wiary“ również jest fałszem; bo że ci bracia prawosławni, t. j. moskale, nie tylko naszych prawowiernych, ale i schizmatyckich Rusinów, czyli małorosyanów, nie tylko nie miłują, ale i nienawidzą, to ukazuje nie tylko obelżywe nazwisko: Chachoł, które im zawsze dają, ale i gwałtowne ich moskwiczenie, o którém i teraźniejsze świadczą dzienniki. Gdyby pisarz ten pamiętał na słowa P. Jezusa: „Potém poznają wszyscy, żeście uczniami moimi, jeśli miłość mieć będziecie jeden ku drugiemu.“ (Joan. XIII. 35.), i że ci nie są uczniami P. Jezusa, którzy nie słuchają tego, komu P. Jezus wszystkie swe owieczki i baranki, bez żadnego wyjątku, powierzył, uczułby sam, iż w schizmie prawdziwie chrześciańskiéj bliźnich miłości być nie może, ale tylko albo naturalna, albo samolubstwo.

Materyalizm w obec nauki.

(Dokończenie.)

Brakowało dotąd jednak podręcznika materyalizmu *ad usum* wszystkich. I ten się znalazł nareszcie. Materyaliści nasi pracują w tém konsekwentnie; szczególnie w Warszawie swém wydawnictwem popularnych wykładów zagranicznych, na których spodzie pełza najczęściéj gruby realizm, przygotowują umysły nie bez zręczności; w końcu i *Büchner* się zjawił. Wiem, że pewna partya z zapałem temu przyklaskuje, tak jak policzyli za zasługę jednemu z najpopularniejszych menerów w Galicyi, że założył we Lwowie pierwszą lożą masońską. Nic dziwnego, wszakże wieńczono kiedyś pochwałami tłomaczów *Eneidy Blumauera*, taka podobno i zasługa dzisiejszego tłomacza *Büchnera.*

Bo pytam, cóż spowodowało ten przekład? Oczywiście, że nie potrzeba nauki. Dzieło *Büchnera* nie jest podręcznikiem do żadnéj umiejętności: fachowy naturalista z niego nic się nie nauczy; co więcéj możnaby tę książkę wziąść za nieporządne i nieumiejętne zebranie wszystkich paradoksalnych hypotez, które ostatniemi czasy ukazały się na polu umiejętności. Tyle zresztą innych naukowych prac z dziedziny nauk przyrodzonych czeka dotąd daremnie na tłomacza. Dla kogo więc przeznaczona książka Büchnera? dla młodzieży uczącéj się, albo raczéj nieuczącéj się, która tanim kosztem chciałaby przyjść do śmiałych sądów i twierdzeń imponujących nieukom; wreszcie dla ogółu czytającego, który dla braku fachowych wiadomości, nie potrafi wcale ocenić dzieła. A cel téj publikacyi: *szerzenie ateizmu.*

Godny to uwagi fakt, że w latach wielkiéj ruiny majątkowéj w Polsce i całkowitéj stagnacyi księgarskie-

go handlu, kiedy prace znakomite szukają napróżno nakładców, znalazły się fundusze na wydanie dzieła, którego przeznaczeniem zadanie ciosu moralności i religii. A cios ten obrachowany. Bo jeśli tłomaczowi chodziło, by i większéj publiczności dać próbkę niemieckiego materyalizmu, to był powinien, tak wymagała uczciwa bezstronność, podać wszystkie akta téj sprawy. Nie mówimy już o tylu rozbiorach uczonych, które w Niemczech i we Francyi wywołała ta książka; nie wymagamy od tłomacza, aby je był umieszczał przy swéj smutnéj pracy. Nie mógł tego uczynić, bo niewątpliwie ich nie znał. Ale mógł i powinien był powtórzyć liczne przedmowy swego ulubionego autora, które tenże przy każdém nowém wydaniu kładł na czele swego dzieła. Jest ich dotąd *dziesięć* a czytanie ich jest bardzo pouczającém, bo cała nędzota materyalistycznych argumentów w nich się odsłania bezwiednie. Tam autor w całym występuje *negliżu*.

Ten negliż byłby niejednemu odebrał ochotę do czytania saméj książki. Bo jakaż to może być teza, dla któréj obrony potrzeba obrzucać błotem pierwszorzędnych naturalistów i staczać bój wściekły ze wszystkiém, co jest w Niemczech zacne i uczciwe. To wszystko byłby polski czytelnik znalazł w owych przedmowach. Ale tłomaczowi i jego spółce chodziło właśnie o to, aby czytelnik o tém *nie wiedział* — dla tego z owych przedmów wybrano dwie, ósmą i dziewiątą. Szczególnie ta dziewiąta zasługuje na baczną uwagę, bo wyjaśnia powód i zamiar téj publikacyi.

Podczas, gdy przedmowy, mające cel niby naukowy pominięto zupełnie, wybrano pamflet *przeciw religii*, aby przysposobić polską duszę do niemieckiego materyalizmu. Ponieważ w téj polskiéj duszy jeszcze może coś być uczciwego, jakieś wspomnienie dawnéj wiary, jakieś uczucie jéj nierozerwalnego związku z narodowością naszą, chciano wprzód też wiarę i ten kościół wystawić pod pręgierz, aby ją wszystkim zohydzić. Dla tego dano nam przedmowę, która powiada, że oto *zastarzały butwiejący papizm staje znów do walki z filozoficzną potęgą czasów;* że ten mniemany zastępca Boga na ziemi, ten nieomylny władca sumień, jest rakiem toczącym ciało społeczne, krępującym umysły i polityczny rozwój; że katolicka zagranica podtrzymuje spruchniały tron jego ostrzami bagnetów, niby w imię świętéj tradycyi i wielkich interesów religii i moralności, ale że żadna obłuda nie zdoła już utrzymać tego, w co ludy przestały wierzyć. — Czytamy daléj, że papizm i jego słudzy prześladowali umiejętność wszelkiemi środkami, podstępem, gwałtem i okrucieństwem, gnębili ją, przekręcali, wyniszczali... że na rozkaz księży wprawdzie ciągle się jeszcze dzieją cuda — że jeszcze co rok na świat cały wyjeżdżają nuncyusze, aby bezwstydnie spekulując uderzać w najsłabsze strony natury ludzkiéj, ale że to wszystko jest ostatniém konwulsyjném drganiem przedpotopowego kolosu...

Toć nie w innym zamiarze, jak aby przyspieszyć owe skonanie wiary tak przez nich upragnione, tłomacz i wydawca umieścili przed książką te bezwstydne obelgi rzucane na kościół, obelgi, z których wieje zaduch niemieckich piwiarni i którym podobnych nie czytano dotąd w polskiéj mowie. A nam się zdawało, że polska mowa zbyt jest szlachetna, zbyt rycerska, zbyt tchnieniem wiary owiana, by tego rodzaju bezeceństwa można było nią wysłowić; że Polak zbyt często miał na swych ustach nieskalane imię Maryi, aby z taką swobodą bluźnić mógł Bogu i jego kościołowi, że polski wreszcie pisarz, choćby też najmniéj myślący, zbyt wiele jeszcze ma godności, aby dobrowolnym dla niemieckich brudów stawał się rynsztokiem! Nam się zdawało, że kiedy na północy dzika tłuszcza grabi świątynie, więzi kapłanów i po polsku nawet modlić się zabrania, toć na południu, nie na to zapewne Bóg zostawił nam trochę wolności, byśmy się nią Moskwie zasługiwali i czego ona pałkami czy Sybirem nie zdusi, byśmy to sami własném czy niemieckiém mędrkowaniem zamrażali w duszach polskich. Nam się nakoniec zdawało, że w tych dniach czyścowéj męki, które ojczyzna nasza musi jeszcze odcierpieć, — by dać Polakowi więcéj hartu i nieprzełamanéj ufności, trzebaby raczéj duszę jego porwać aż do niebios, a nie skazywać jéj wraz z ciałem na jednaką zgniliznę! Tak nam się zdawało. Ale znać, że to wszystko jeszcze przesądy, z których mistrzowie ateizmu chcą nas łaskawie wyleczyć. Bodajby nas przy nich zostawili, a swą plugawą doktrynę, jeśli głosić ją mają koniecznie, zachowali dla tych, którym lepiéj, niźli nam, wiedzie się na tym świecie!

Smutne to w istocie! Że jednak i w najsmutniejszych wypadkach nie można się obejść bez śmiechu, bo i Szekspir w każdéj tragedyi błazna wyprowadza na scenę, przeto i tutaj scena błazeńska sama się narzuca publiczności. Ledwo zjawił się w polskiéj szacie ów szarłatan niemiecki, zaraz na cześć jego w lwowskich dziennikach trąbić i bębnić poczęli polscy jego figuranci. Oto, co wygłasza jeden z tych dzienników (nazwisko wolimy zamilczeć); ustęp to zdolny rozweselić czytelnika: *„Zawarte w pracy Büchnera prawdy, pomimo całéj swéj nagiéj prostoty i pozornéj prozaiczności, nawet pod względem formy, przewyższają podniosłością swoją wszystko, cokolwiek utworzyła dotychczas wyobraźnia poetów wszystkich narodów i pokoleń i fantazya filozofii.... kto więc umie cenić wiedzę czystą, niezmąconą żadnemi domieszkami marzeń marnych, kto chce wzlecieć myślą tam, gdzie go żadna poezya umieścić nie zdoła, niech czyta dzieło pod tytułem: „Siła i materya“ a może zasmakuje w téj trzeźwéj mądrości.“*

Mamy tedy *trzeźwą mądrość*, która *podniosłością* swoją przewyższa *fantazyę filozofów*, a to wszystko się mieści w plugawéj książce *Büchnera*. O autorze téj reklamy powiedzieć trzeba co najmniéj, że o trzeźwéj mądrości nie pisał na trzeźwo. Ale dajmy już pokój tym fabrykantom i komiwojażerom niemieckiego ateizmu, a skończmy rzecz naszę słowem do poważnéj publiczności.

Czytelnik niepotrzebował bezwątpienia naszéj rozprawy, aby uczuć wstręt głęboki do doktryny, która równa człowieka z bydlęciem i wydziera z jego duszy to, dla czego jedynie żyć warto. Co najwięcéj, jeśliśmy pismém naszém dopomogli mu do stwierdzenia w sobie przekonania, że owym fantastycznym a jednak tak poziomym hypotezom materyalistów brak wszelkiéj naukowéj podstawy, że ich autorom brak zmysłu moralnego, i że nie inna jest przyczyna tych potwornych, pseudoscyentyficznych pojawów, jak żądza rozgłosu bez pracy i nauki, oraz pewna skłonność, właściwa niektórym lu-

dziom, nurzania siebie i drugich w błocie. Nic więc w tém nowego, nic tak bardzo dziwnego i moglibyśmy nieprzeszkadzać wcale téj rozrywce apostołom materyalizmu, gdyby materyalizm nie znajdował w naszéj epoce sprzymierzeńca, który mu dziś więcéj niż kiedykolwiek dodaje siły i znaczenia. Wiek nasz jest przeważnie wiekiem *demokracyi*: w polityce, w stosunkach społecznych, w obyczajach, a wreszcie w nauce. Każdy chce być dzisiaj człowiekiem politycznym tak dobrze jak drugi, i każdy też chciałby wiedzieć wszystko sam przez się, o wszystkiém sądzić i kierować się zawsze niby własném zdaniem. Jak najtrudniejsza z nauk ludzkich polityka, która dawniéj była udziałem tylko ludzi wyjątkowych, obecnie stała się przedmiotem codziennego zajęcia tych, co ledwo czytać umieją, tak i owe wielkie kwestye materyi i duszy, życia i nieśmiertelności, stworzenia i Stwórcy, które lat kilkadziesiąt przystępne były jedynie umysłom najcelniejszym, dzisiaj bez wyboru i ze złośliwym namysłem podawane są pod rozwagę i sąd ludzi, którzy jeszcze ani ważyć, ani sądzić nie nauczyli się. Na tych wielkich kwestyach, każdy to czuje, budowa społeczna opiera się. Im silniejsza w którym narodzie była afirmacya Boga, im większa wiara w nieśmiertelność duszy, w nagrodę i karę wiekuistą, tém więcéj było w nim zdrowia i spokojnéj, męzkiéj działalności. Wszystkie owe prawdy są, jak wiadomo, zawarte w małéj, kilkunastu arkuszowéj książeczce, zwanéj *katechizmem*, i póki ten wystarczał wielkiéj masie ludności, póty społeczność znajdowała w nim gwarancyę swego istnienia, nieporównanie silniejszą, niźli mu przynieść ją mogą krociowe armie, rujnujące państwa i narody. Dzisiaj katechizm nie wystarcza; naprzód dla tego, że go nie uczą, lub że go zapomniano, powtóre, że ze wszystkich stron bije weń szatańskie sprzysiężenie i w łaknące używania tłumy wmawia, że, co dotąd uchodziło za prawdę niewątpliwą, jest przesądem; co było sprawiedliwością, jest tylko wynikiem przemocy i że zbawienne wiary i moralności hamulce są to więzy rdzą czasów pożarte, niegodne ludzi wolnych i myślących. Masy niewykształcone przestają wierzyć po dawnemu, własnym rozumem chcą zgłębiać, na własną rękę chcą dochodzić prawdy. Droga to niebezpieczna i tuż obok niéj ciemna przepaść barbarzyństwa! A jednak wzbraniać im nie można, odwracać uwagę na nic się nie przyda i nie ma inszéj rady, jak rozbudzoną żądzę wiedzy nasycać zdrowym pokarmem.

Na tę konkluzyą wszyscy się zgadzają oddawna, ale pomimo to wyznać trzeba, że ludzie sumienni i wierzący mniéj nierównie dla popularyzowania nauki dotąd czynili, niźli płytcy a śmiali szarłatani, i że z dobréj strony mniéj było usiłowań dla umoralnienia klas niższych, niźli z przewrotnéj dla ich zepsucia. Tak jest wszędzie w całéj Europie, i u nas na coś podobnego się zanosi. Złe budzi się, rośnie, bierze górę pierwéj, zanim ockną się ludzie uczciwi, zanim burzę spostrzegą i ocenią jéj wielkość i blizkość. Więc jakby na przestrogę, z dopuszczenia Bożego raz po razie wypada grom: zjawia się jakieś niewidziane zepsucie, które całą Europę cywilizowaną przeraża, jakaś niezwykła w społeczeństwie szkarada, i występują na katedrę mistrzowie, których nauka, mimo swéj ohydy, znajduje słuchaczów i oklaski. Znaki to czasów i rosnącego fermentu. Winniśmy wdzięczność złemu, że nas upomina, że nas wyrywa z *inercyi*, z kwietyzmu, z odosobnienia. Nic zwyczajniejszego, jak przekonanie, z którego ludzie nawet sprawy sobie nie zdają — tak ono w nich wrosło — że byle drugim się nie narazić, zdania swego zbyt głośno nie afiszować, przeciw prądowi nie płynąć, to można jeszcze w miłym żyć spokoju, używać tego co Bóg dał, być człowiekiem uczciwym, szanownym, a nawet pożytecznym obywatelem. Już nas jeden i drugi kataklizm polityczny powinien był przekonać, ile jest niebezpieczeństw w téj fałszywéj ufności. Dziś rzeczy idą daléj, bo już nietylko stosunki polityczne, lecz cały układ społeczny i wszystkie warunki towarzyskiego bytu są zakwestyonowane. Już nie na forpocztach i w oddaleniu, ale w głównym obozie toczy się walka: szturm przypuszczono do ostatniéj strażnicy cywilizacyi europejskiéj. Więc jak potęga złego wszystkich złych sprzymierzeńców w jeden hufiec szykuje, tak i ludzie uczciwi wszystkich odcieni pod jeden sztandar muszą się gromadzić i tak daleko a stanowczo kłaść swoję afirmacyą, jak daleko złe zapuszcza się w przeczeniu. Na dwa wrogie obozy ludzkości rozdziela się coraz więcéj i choć to wielom może być nie miło, każdy będzie zmuszony wybór uczynić i do jednego z nich przystąpić. Czasy neutralności minęły niepowrotnie. Dziś ani publicznéj, ani prywatnéj nie zaradzi potrzebie, kto tylko przy własném, domowém, chce się zamknąć ognisku; dziś nic nie zaważy ten, kto chce ważyć z osobna i z drugimi łączyć się wzdryga; — i nic nie obroni — ani ojczyzny, ani rodziny, ani majątku, ani nawet własnego nie ustrzeże spokoju, — kto nie będzie miał odwagi strzedz i bronić, razem z innymi, wiary i Kościoła. Bo wszystko podminowane, wszystko się chwieje i wszystko musi grozić ruiną tam, gdzie ludność poczyna wątpić o istnieniu Boga i o śmiertelności duszy.

Drugi list ks. Piotrowicza.

Tygodnik Soborowy wychodzący w Krakowie zamieszcza drugi list księdza Piotrowicza „do duchowieństwa katolickiego wileńskiéj dyecezyi“ pisany po polsku, a który w całości powtarzamy, gdyż w stosunkach, jakie tam są, akt podobny nabiera znaczenia, politycznego faktu:

„*Ubi Petrus ibi Ecclesia. S. Aug.*“

Wiecie bracia kapłani z historyi kościelnéj, wiele to było sekt, wiele wzajemnych prześladowań w wieku Augustyna. I kiedy każda sekta chełpiła się prawdziwością swéj nauki, a udaną pobożnością i surowością obyczajów, przeciągano lud na swą stronę tak, że wielu dobréj wiary, niewiedzieli gdzie fałsz a gdzie prawda: Śty Augustyn, znakomity z nauki i z cnoty, będąc biskupem Hippony w Afryce, gdzie wielki był bezład, na zgromadzeniu biskupów i wiernych wyrzekł te wyżéj wzmiankowane słowa, które dla potomnych stały się sztandarem. *Roma dixit, causa finita est.* A do sprzeczających się wyrzekł: *Ubi Petrus ibi Ecclesia!* Otóż bracia w Chrystusie! słowa śgo Augustyna, doktora Kościoła, niechaj i naszym sztandarem i hasłem będą. Gdzie Piotr, tam i Kościół! A to hasło dzisiaj zwłaszcza powinno zabrzmieć tak głośno, żeby pod każdą strzechą dźwięk jego się odbił; echo tego brzmienia powinno się odbić o każde ucho nietylko kapłana, ale i każdego z wiernych. Ocknijmy się bracia kapłani z odrętwienia, w jakiem

dotyczas leżeliśmy; bo następuje czas wielkiéj dla nas próby. Idzie o to, by albo żyć, albo umierać. Trzeba stanąć do boju, do walki nie z orężem w ręku, bo tu nie o ciało, ale o *duszę* idzie, a więc i broń nie materyalna, ale duchowa być powinna. Pokażmy, że jesteśmy ludźmi dojrzałymi, że żyjemy nie dla chleba doczesnego, nie dla dzisiaj; pokażmy, że w życiu rządzimy się rozumem z góry idącym, że wiara Chrystusowa przyświeca w umyśle naszym, że Duchem Bożym kierujemy się, że mamy poczucie szlachetności; pokażmy, że religia katolicka w naszém sumieniu nie dla formy, nie dla oka ludzkiego, ale jest treścią naszego życia, fundamentem, podstawą naszéj moralności. Pokażmy, że jesteśmy z ducha kapłanami katolickimi, żeśmy prawdziwymi pasterzami, żeśmy istotnie światłem gorejącem i solą ziemi! Poczytujmy za szczęście dla siebie, że i na nas przyszła koléj stanąć w obronie prawd Przedwiecznego, praw Kościoła, ktorego ministrami liczymy się. Nie zdradźmy więc tegoż Kościoła, nie zawiedźmy Jego oczekiwań, a nie spodlmy się w oczach ludu, nie zadajmy fałszu nauce dotychczasowéj, bo przyszedł czas, żebyśmy wiarę naszą wyrzekli publicznie, i wiary téj przekonanie nasze stwierdzili krwią, jeśliby tego było potrzeba. Mowa rządzcy dyecezalnego Piotra Żylińskiego znaną jest każdemu. Zabolało zapewne nie jedno serce, kiedy oczyma przebiegł jéj wyrazy. Wiele tam fałszu, wiele tam podłości, a każdy wyraz to bluźnierstwo. W mowie swéj odkrył całą nędzę swój duszy, całą niskość charakteru i brak wyższego poczucia tak religijnego, jako i godności człowieczéj. Publikatą téj mowy zdradził siebie najokrutniéj, bo stan rozumu i duszy odsłonił. Nie potrzebujemy po tem silić się ani domniemywać, co to za człowiek, jakie jego dążności, w jakiem to celu wydrukował. Cóż mają znaczyć: „dostąpiłem największéj łaski Pana Boga, całując po dwakroć prawicę monarszą, i że Pan Bóg nie odmówi ostatniéj swéj łaski umrzeć w poddaństwie rosyjskiego rządu?“ W tych wyrażeniach jest zbrodnia, bo w nich kryje się odstępstwo od Kościoła prawdziwego, od Głowy widzialnéj, od Stolicy Apostolskiéj! Bo dla kapłana nie pocałunek ręki — ale powołanie do katolicyzmu, do stanu duchownego i umrzeć *katolikiem* jest i powinno być największą łaską. W cesarzu tedy ks. Żyliński, a z nim Tupalski uznają Głowę Kościoła, bo w przeciwnym razie nie wyrzekliby słów podobnych. Cesarza my kapłani powinniśmy szanować, słuchać i nauczać, żeby i inni szanowali, słuchali i modlili się za pomyślność, bo powiedziano: *estote subditi principibus*, ale nie w rzeczach religijnych, bo nie cesarzom, ale św. Piotrowi dana władza rządzenia i kierowania duszami. Katolicyzm nie przeszkadza być poddanym cesarzowi rządu rosyjskiego, nie nakazuje buntować się. *Co jest cesarskiego cesarzowi, a co boskiego Bogu.* Cesarz dla interesów ziemskich, Papież dla duszy. Żyliński zaś i Tupalski wyrzekają się Papieża, bo sami chcąc rządzić się, w cesarzu uznają Głowę Kościoła. Cóż my na to kapłani? ażali myśl podobna znajdzie u nas potwierdzenie? Nie sądzę. Jeżeli cierpią na zasady polityczne, możemyż tedy być sprawcami przewrotu religijnego; możemyż uledz postrachom dziecinnym? Możemyż robić wykręty, maja czyyć ni siak ni tak? Nastąpiła pora otwartego wyznania. Powinniśmy wyrzec głośno: albo Kościół z Papieżem, albo odstępstwo z Żylińskim! Owoż bracia kapłani, śmiało tedy wyrzeczemy: „*Volo cum Ecclesia Catholica mori, quam cum diabolo regnare.*“ Ani wygnanie, ani więzienie, ani *śmierć* sama nie odłączy mię od Kościoła świętego *Rzymsko-katolickiego.* Wierzę i wyznaję, że jak państwo bez króla, dom familijny bez gospodarza, człowiek bez głowy, tak Kościół prawdziwym być nie może bez widzialnéj Głowy, bez *Papieża.* Bo kto nie uznaje Papieża za Głowę Kościoła ten nie ma Jezusa Chrystusa za Ojca, za Boga. Dość naszego milczenia Pora położyć koniec obojętności, w jakiéj dotychczas gnuśnieliśmy, gdy tymczasem lud pieczy naszéj popowierzony, napadnięto, łudzono do odstępstwa, a myśmy nie śmieli podnieść głosu prawdy z bojaźni sztrafu lub wysłania. Nadeszła tedy pora, że otwarcie żądają odstępstwa od Głowy, a utworzenia osobnego Kościoła katolicko-rosyjskiego! Katolikiem jest wtedy człowiek, kiedy wierzy i czyni jak Kościoł katolicki naucza. Katolicyzmu bez widzialnéj Głowy nie pojmujemy. A kto nie chce mieć za Głowę najwyższego biskupa, ten musi uznać laika, począwszy od sprawnika, gubernatora do cesarza. Kto nie chce kłaniać się Bogu, musi pokłony wybijać przed stworzeniem. Nie sądzę, żeby kapłani, mający wiarę i nieco oświaty, spodlili siebie na zawsze, shańbili imię swoje na wieki odstępstwem. Rządzca i jego koledzy ks.ks. Niemeksza, Tupalski, to plugastwo kapłaństwa katolickigo, hańba ludzkości, mogąż być nam przykładem? Możemyż wstępować w ślady nierządników publicznych? Możemyż usłuchać głosu tych, którzy cnotę, honor, szacunek dobrych ludzi już dawno stracili? którzy w rozpuście i w bezprawiu szukają tylko zadowolenia? Iść za ich wezwaniem byłoby hańbą, podłością i poniżeniem, nie tylko godności kapłańskiéj, ale człowieczéj.

Bracia więc kapłani, stańmy śmiało, w oczy pokusie szatańskiéj. Oni nas nazwali *kowarnymi i uczetliwiymi* — nie dla czego innego, jeno że ich podłości nie podzielamy, że brzydzimy się ich postępkami. Adres nasz niech będzie nie w myśli rządzcy, ale w duchu katolickim. Jestem poddanym rosyjskim, we wszystkiem, co się Boskiemu i Kościelnemu rozporządzeniu nie sprzeciwia. I jestem synem Kościoła katolickiego. Jako kapłan nietylko sam wierzyć mam po katolicku — ale starać się, żeby i wierni pieczy naszéj powierzeni, wierzyli po katolicku, tj. tak, jak wierzy Kościół św. katolicki dzisiaj na Soborze w Rzymie zebrany. Żaden rządzca nie jest w stanie zaprowadzić nowych reform w Kościele. Języka i ceremonii uświęconéj prawami całego narodu i Głowy Kościoła, żadna władza, żadna siła, nie może przemieniać. Pismo święte tłomaczyć na inny język i aprobować tekst, nie do rządzcy ani kapituły, ale do Papieża należy. A kto waży się w innym języku, jak rytuał dotychczasowy przepisuje, czytać ewangelie, śpiewać, mawiać nauki, popada w kościelne klątwy. Oto bracia kapłani nasz adres. Nauczajmy lud prawd ewangelicznych, bojaźni Bożéj, wzajemnéj sprawiedliwości, szacunku dla władz, modlitwy za zwierzchność. Ale też nauczajmy i wiary prawdziwéj, ostrzegajmy o złych zamiarach przewrotnych ludzi i przekonywujmy o potrzebie mężnego wytrwania w wierze św. rzymsko katolickiéj. Postawieni jesteśmy na czele ludu, więc przewodniczmy mu na drodze cnoty, wiary, bo ścisły rachunek czeka pasterzy w dzień sądu Wielkiego Boga. Precz tedy wszelka myśl odstępstwa, przeniewierzenia się, precz z kościołem katolicko-rosyjskim. Jesteśmy członkami wielkiéj rodziny katolickiéj, dziećmi jednéj matki Kościoła, którego głową jest biskup rzymski, Papież. W tym Kościele chciéjmy żyć i umierać. Bo ten Kościół nas *uszlachetnił, uzacnił, uprzywilejował.* Prawa jego są Boskie, niezmienne i powinny rządzić nami, jeżeli pragniemy szczęścia za życia i po śmierci. Jeden Bóg, jedna wiara, jeden Kościół prawdziwy, a nim jest Kościół rzymsko-katolicki, a innego nie chciejmy znać ani tworzyć! Bo kto nie jest w łódce Piotrowéj, nie może być uczniem Chrystusowym. *Extra Ecclesiam non est salus.* Kiedy świat zaczyna wracać do środkowego ogniska tj. do katolicyzmu, my byśmy od tego życiodawczego punktu śmieli się odsuwać? Uchowajże Panie od podobnéj myśli! Nie lękajmy się straty probostw —

nie obawiajmy wysyłki, są to dziecinne fraszki. Wyszlą nas pomimo nas, ale Kościół przeto nie upadnie, owszem wysłanie będzie dowodem naszéj silnéj wiary i przywiązania do Kościoła, a lud ten przykład rezygnacyi, poświęcenia zachowa w pamięci do w późne pokolenia, a mając wzór w proboszczu, nie dadzą się łatwo oczmucić. Katolicyzm wszędzie przechodził koleje próby, i wiemy z historyi, że nie ustępstwa, ale energia, stałość zasadom, górę brały i zwycięztwo odniosły. Że wyszlą za prawdę — nie odpowiemy przed Bogiem, owszem koronę otrzymamy, ale majaczenia kończą się upadkiem, całkowitém odstępstwem i wieczną karą. Apostołowie i ich następcy, dzisiejsi misyonarze nie ustępstwami się bronią, ale krwi przelaniem. Bo kto mię zaprze się przed ludźmi, zaprę się jego przed Ojcem moim Niebieskim. A tak wyznajmy publicznie, śmiało, kiedy o to pytać będą, że katolikiem jestem i nim pozostanę z łaską Bożą aż do śmierci, a że żadne postrachy, obietnice nie skłonią mię do zmiany przekonania. Wolę żebrać, jęczeć w więzieniu z sumieniem czystém i Bogiem, niż królować z szatanem, z sumieniem dniem i nocą zgryzotami szarpaném. Może kto powie, że w adresie Żylińskiego nic złego nie ma — wyraźnie się mówi, że on prawdziwy katolik, wierno poddany Rosyi. Tak prawda, ale co mają znaczyć Tupalskiego słowa, że obecny rządzca odkrył nam oczy, że dał pojąć prawdziwe nasze stanowisko wobec społeczności, że nie zawsze Pan Bóg takich zwierzchników udziela? Oh! to prawda! wielka prawda, przyznaję tobie X. Tupalski, tylko nie w téj myśli, jak chcesz żeby było tłumaczonem. Rzadko Pan Bóg daruje w owem miłosierdziu to prawda. Bo tak wielkich łotrów jakiemi wy jesteście, i złodziejów jak p. Żyliński, rzadko Bóg daje na rządzców, i jeżeli chce jaki naród ukarać, to dopuszcza, żeby przewrotni rządzili, żeby zamiast chleba, dawali wężów. Nie jestże to samochwalstwo, pycha, zaślepienie, w najwyższym stopniu przyznawać sobie wyższość rozumu nad zarząd biskupów poprzednich i obecnie wygnanego? Cóż twój p. Tupalski liebrzmyj (?) i uważajemyj wsiemi (swołoczami) nowego podał, co on nam wykrył? że można być dobrym katolikiem i wierno poddanym Rosyi? Któż kiedy temu zaprzeczył, kto inaczéj kiedy nauczał? Wy to wierno-poddani sami! O! podły narodzie i bezczelności bez granic. Zbrodnia wasza rozum wasz przyćmiła. Bo przy zdrowym rozsądku, nie wyrzeklibyście podobnie. Jeżeliście dotychczas byli głupcami, a Żyliński was oświecił, idźcie za nim, trzymajcie się jego światła — my pozostaniem przy rozumie swoim, przy rozumie wiary katolickiéj. Bo dla nas ani Żyliński, ani cała jego zgraja mędrców nic nowego nie wykryła, jedno żeście obnażyli siebie okrutnie na potomne wieki. I posłużycie za piętno hańby w historyi Kościoła. Adres przez czterech podpisany, będzie świadectwem pokoleniom zaślepienia i złości, jeżeli on nie porzuci moralności ewangelicznéj. Oby Bóg w Trójcy św. jedyny udzielił nam ducha mądrości, roztropności, odwagi! Matko niepokalanie poczęta, Wspomożenie wiernych, która zwyciężyłaś wszystkie herezye, módl się za nami, weź nasz Kościół pod swą opiekę, bo jesteś Matką i Królową naszą! *Sub tuum praesidiam confugimus!* Ty Matko Syna Bożego, bądź naszą tarczą, siłą i obroną! A kogo Ty wesprzesz, całe piekło nie przemoże! My Twoje dzieci, Tyś naszą Matką! Nie dopuść Orędowniczko nasza, by nieprzyjaciel bluźnierca Syna Twojego wziął przewagę nad nami.

Pan Kraszewski a Tygodnik katolicki.

Że ludzie wielkich namiętności, które zazwyczaj trzeźwe patrzenie a sąd jasny mącą, niekiedy uprzedzeń i zaciekłości stronniczéj się pozbywają i prawdę mówią, dowodem tego może być powieść p. Kraszewskiego, zamieszczona przed rokiem w *Sobótce* pod tyt.: *W mętnéj wodzie.* W téj powieści, którą natchnęło uczucie osobistéj zemsty na ludziach przeszkadzających panu Kraszewskiemu w krótkim jego dziennikarskim zawodzie podczas pobytu w Galicyi, — a w któréj to, co nizkie i odrażające do wysokości ideału podniesione, a osoby i rzeczy zasługujące same z siebie na cześć i poważanie, skarykaturowane, zohydzone, oplwane, — p. Kraszewski następujące, prawdziwe a godne pamięci wypowiedział słowa o zadaniu i znaczeniu dziennikarstwa:

„Dziennikarstwo (pisze p. Kraszewski) jest czémś więcéj niż sądzi większa część ludzi, którzy z jednego arkusza sądzą o działalności trzystu w ciągu roku. Jest to powolna trucizna lub lékarstwo powolne... Proces działania dziennikarstwa jest nowy, jest różny od innych, jest potężny nieustannością swą... Naród, który się nie stara o ten wydoskonalony oręż, wyrzeka się boju i musi być zwyciężonym...... Dać w ręce intrygantom i spekulantom dzienniki, jest to powierzyć straż bezpieczeństwa publicznego ludziom wątpliwéj moralności. Żadna społeczność na sprawę tę, sprawę wieku, obojętną być nie może.“

Na zdania te piszemy się w zupełności, a przypominamy je tutaj dla tego, że one wobec niesłychanéj dowolności, wobec grubéj niesumienności, z jaką się p. Kraszewski, obecnie redaktor *Tygodnia,* z pismem naszym obchodzi, najstósowniejszą mogą być odpowiedzią.

Pan Kraszewski, jak zresztą i inni dziennikarze, długo ignorował nasz *Tygodnik,* a jeżeli się niekiedy półgębkiem o nas odzywał, to szedł za zdaniem nieprzyjaznych nam dzienników i potępiał nas i karcił, nie znając nas zgoła. Lubo i to już było niesumiennością ze strony człowieka, który chce być przodownikiem w narodzie, a który dla tego ani na chwilę zapominać nie powinien o téj przestrodze Ducha św.: *iusta judicata,* i *potentes potenter punientur;* jednakowoż pomijaliśmy to wszystko milczeniem, czekając cierpliwie, aż przyjdzie chwila, w któréj przecież pan Kraszewski powściągnie swe namiętności, a z spokojem i sprawiedliwością odda co się każdemu należy. Tymczasem omyliły nas nadzieje!

P. Kraszewski od kilku tygodni przeglądając nasz *Tygodnik,* wspomina o nim w każdym niemal numerze swego *Tygodnia,* a z jakim duchem, o tém wiedzą z każdorazowych przytoczeń dotyczących nas ustępów czytelnicy nasi. Redaktor *Tygodnia* nie przywodzi nigdy ni artykułów naszych, ni ustępów, ni zdań pojedyńczych, ni nawet wyrazów, by z nami polemizować, by wykazywać, czy to nieprawdziwość, czy niestósowność lub wreszcie nielogiczność naszych wywodów. Natomiast pan Kraszewski lubuje sobie w sposobach praktykowanych szczególnie w *Dzienniku poznańskim,* by nas łająć i karcić, by na nas fukać i tym fukaniem i tym gromieniem do milczenia zmusić. Potępia nas ryczałtowo, w czambuł, bez zastrzeżeń wszelkich i bez wszelkiéj względności, a czyni to w wyrazach grubych, gwałtownych, tak, że ci, co *Tydzień* drezdeński za ewanielią mają, o piśmie naszym jak najgorszego muszą nabrać wyobrażenia. P. Kraszewski chciałby nas skruszyć w potędze zapalczywości swojéj, więc mu to

obojętném, czy nas z pańska traktuje jako pismo bez wszelkiéj wartości — jako *curiosum,* czy nas nawet o brak uczuć narodowych publicznie oskarża: jemu wszystko dobre; w orężach, w środkach oddawna nie przebiera.

Dowodem tego, co tu mówimy, niechaj będzie następujący sąd p. Kraszewskiego, jaki w ostatnim, 27 numerze *Tygodnia,* o nas wydaje:

Od czasu, gdy *Tygodnik katolicki* począł polemikę z kapłanem z prowincyi, który wystąpił w obronie honoru dziennikarstwa katolickiego i świętości sprawy Chrystusowéj, — polemikę w katolickim świecie i dziennikarstwie niepraktykowaną zajadłością — musieliśmy nieraz go wziąść do ręki jako *curiosum.*

Redaktora *Tygodnika,* kapłana przecież polskiego, wszystko co polskie i narodowe, a co nie wyszło z pod jego skrzydeł, okrutnie korci i gniewa. Pismo religijne z nazwiska, z treści, rzekłbyś, dziennik szukający skandalu, żółciowy a polujący wrzawą na uciekających czytelników. Niedawno dąsał się na patryotyzm mnichów włoskich, którzy, wspólnie z ludem, śmią rękę przykładać do sypania kopca Unii lubelskiéj; dąsał się na ruch szkólny, jako grzeszną, niedojrzałą próbę, zżymał się na myśl urządzenia nabożeństwa za duszę Kazimierza, teraz wzdryga się na składki dla ks. Sosnowskiego, wygnańca, zowiąc je „szkaradną demonstracyą“, ostrzegając, że w nich zasadzka tkwi niebezpieczna na dusze katolickie. Nie przekonały go o niewinności naszéj protestacye *Tygodnia* i *Dziennika,* cóż więc począć — trzeba świątobliwy organ zostawić przy jego przekonaniach i gniewach. Cóżby też robił, gdyby nie polemizował? coby robił, gdyby mu łajać kogo zabrakło i nad kim się znęcać? i uwijać z dyscypliną po kruchtach?

Zabieralibyśmy sobie zbyt wiele miejsca, gdybyśmy wszystkie fałsze, przekręcenia, a złą wiarę *Tygodnia* chcieli wykazywać: nieuprzedzony czytelnik pozna z łatwością, jak tu p. Kraszewski miotany gniewem, uczuciem obrażonéj miłości własnéj, rzuca słowami bez rozmysłu, siecze i gromi po staremu tego, co bić pokłonów przed nim nie myśli, co od dawna na wielkie zboczenia z drogi prostéj sumienia i sprawiedliwości tego pisarza wskazuje.

Pan Kraszewski dla przeciwników swoich jest tyranem, depce ich i pluje na nich, a przeciwnikiem jest każdy, co mu nie schlebia, co go słuchać nie myśli i nie chce.

Jak wielką rolę odgrywa w nim obrażona miłość własna, niechaj poświadczą jego najświeższe powieści, które tak hojnie po wszystkich pismach rozrzuca: tam to p. Kraszewski mści się na Rzymie, na osobach duchownych, na katolikach, na tak zwanych ultramontanach — tam całą siłą swego talentu chciałby to wszystko, przeciw czemu się zawziął i zaciął, zohydzić, wystawić na pastwę nienawiści i zemsty, chciałby zetrzeć na proch... My zadamy sobie pracę i wykażemy, jaką żółcią, jakim jadem zgubnym, trującym serca i umysły są te wszystkie *Obrazki współczesne* i B o l e s ł a w i t y i p. K r a s z e w s k i e g o, i te powieści i powiastki jak *Czarna perełka, Pomywaczka, Zagadki, W mętnéj wodzie, Kochajmy się* i tyle innych wyrobów wytrwałego, acz skwaszonego i namiętnego wielce pisarza.

Dał Pan Bóg panu Kraszewskiemu wielki talent i niezawodnie pożyteczne bardzo i zaszczytne w narodzie stanowisko. Cóż, kiedy p. Kraszewski w złych kierunkach teraz talent swój marnuje, zdolności swych używa, nie żeby narodowi pracami sumiennemi, bez osobistych tendencyi, bez gniewów i namiętności, przynosić w ofierze zdrowe, ożywiające i orzeźwiające pojęcia i zasady, wskazywać drogi proste i pewne, lecz, by popuścić cugle swywoli, by jątrzyć, zakwaszać, zatruwać publiczność chciwą rzeczy drażniących i rozbudzających nizkie popędy...

P. Kraszewski z tego, cośmy napisali, może być bardzo niezadowolniony, może teraz mścić się będzie na nas aż do końca: myśmy wypowiedzenie słów tych prawdy gorzkiéj może, lecz rzeczywistéj, uważali za pilny obowiązek, nietylko dla tego, że pisarz stojący już, jak sam oświadcza, nad grobem, wciąż jeszcze nie oblicza się z sobą, jakiéj doniosłości przed Bogiem i ludźmi są prace jego, lecz i dla tego, że wpośród chóru tylu wielbicieli bezwzględnych talentu jego żaden głos się nie znalazł, któryby na przewinienia jego i grzechy popełniane piórem i drukiem zwrócił uwagę.

Pan Kraszewski będąc teraz zarazem redaktorem czasopisma tygodniowego, ma w swym ręku nowy środek do rzucania w szerokie i dalekie koła tego, czym sam jest przejęty. Ostrzegał on naród w przytoczonym powyżéj z *Mętnéj wody* ustępie, by dobrze zważał jakiéj moralności człowiek, czy nie intrygant lub spekulant, co stoi na czele dziennika jakiego. Otóż pierwszym warunkiem, podstawą moralności publicznéj jest sumienność i bezstronność, jaką się dziennik każdy rządzić powinien. Na brak tych właśnie przymiotów skarżono się u nas od dawna i co chwila jeszcze skargi się podnoszą. Niechajże *Tydzień* zacznie dobrym przyświecać przykładem, niechaj zaprzestanie dawać sposobności do czynienia sobie tych ciężkich zarzutów, a wtedy i my z naszéj strony szczérze wyznamy, że to pismo podaje nie „p o w o l n ą t r u c i z n ę, l e c z l é k a r s t w o p o w o l n e.“

Kilka słów

z powodu powieści M. Bałuckiego:

Życie wśród Ruin.

Literatura powieściowa od lat kilku wzmogła się bardzo. Mamy nie mały zastęp pisarzy pracujących wytwale a pilnie na polu tak zwanéj belletrystyki. Co rok pojawia się kilkanaście jeżeli nie kilkadziesiąt tomów nowych powieści i romansów, które i chętnych nakładzców i skorą do czytania znajdują publiczność. Powiedzmy więcéj, ta właśnie gałąź piśmiennictwa narodowego kwitnie dziś najbujniéj, i lękać się nawet trzeba, by dla nawału prac tego rodzaju, rzeczy ważniejsze i poważniejsze nie ucierpiały. Dla nas wszelako skąd inąd rodzi się obawa większego znaczenia. Zapytajmy się, jakiego kierunku, jakiego ducha, jakiéj treści są te wszystkie najnowsze powieści i romanse? Co ich myślą przewodnią? Jaki wpływ wywierają one na czytelnika — zbawienny czyli téż zgubny i szkodliwy — jakie korzyści moralne odnosi czytająca publiczność? Nie chcemy się w téj chwili rozwodzić szérzéj nad powyższemi pytaniami i odpowiadać na

nie, przysposabiając osobną w téj materyi pracę dla pisma naszego; wszelako nie podobna nie widzieć, jak we wszystkich niemal utworach powieściopisarzy naszych przebija się kierunek tendencyjny a zły, kierunek destruktywny, wrogi nie tylko już Kościołowi św. lecz odwiecznym prawdom bożym; kierunek podkopujący zasady moralności chrześciańskiéj, co więcéj wstrząsający podwalinami, na których się społeczeństwo dzisiejsze opiera.

Przez pewien przeciąg czasu literatura powieściowa była u nas wolną od fermentu rozkładowego, od tego cynizmu bezecnego, nagiego, jakiem się tyle powieści i romansów we Francyi i w Niemczech odznacza — teraz znowu pisarze nasi zdają się chcieć naśladować nietylko takich już *Sue'ów*, *Dumasów*, *Sand*, *Huga*, lecz tych niegodziwych najemników pióra, co zdzierając ze wszystkiego urok świętości, czci i poszanowania, cnotę wydrwiwają, a zbrodnie i występek w olśniewających przedstawiają barwach.

Taki jest ogólny charakter znacznéj części najnowszych powieści naszych. Nie podnoszą, nie oświecają, nie uszlachetniają, lecz spychają na dół w kał i błoto, lecz zaciemniają i mącą najprostsze pojęcia, a rozniecając w sercach nizkie chuci i pożądliwości, niszczą godność człowieka, chrześcianina, chciałyby człowieka cofnąć wstecz do stanu dzikości, do stanu wolności — odyńca na boru... Niepotrzeba dowodzić, jakie zniszczenie sieją książki podobnéj tendencyi, jak również dowodzić nie trzeba, że jest obowiązkiem duchownych zwłaszcza, pilne dawać na takie płody baczenie. Ludzie sumienni ostrzegać będą każdego przed trucizną, przed grożącém niebezpieczeństwem — *latet anguis sub herba.* —

Poprzestając na teraz na tych kilku ogólnych uwagach, chcielibyśmy wyrazić nasze ubolewanie, jak dzienniki nasze nie tylko nie pilnują tego obowiązku, by powieści i romanse, w których złe zasady w jakimbądź kierunku się rozpościerają, piętnować i szkodliwość ich dla społeczeństwa wykazywać, lecz nadto, czy to z rozmysłem, czy z nieuwagi, chwalą je publicznie i gorąco zalecają swym czytelnikom. I tak np. nie rozumiemy, jakiém prawem *Gazeta toruńska* i *Dziennik poznański* wmawiają w publiczność, iż wydawnictwo lwowskie, tak zwanéj *Biblioteki powieści i romansów* jest rzeczą chwalebną, gdy przecież wydawnictwo to jest spekulacyą niegodną, obrachowaną na psucie narodu, najniemoralniejszymi pod względem każdym utworami. Teraz znowu w *Dzien. poznańskim* w odcinku czytamy co tydzień w *Wiązance literackiéj* rozbiór powieści, jakie się u nas tu, w Galicyi i w Kongresówce pojawiają. Recenzent *Wiązanki literackiej* ma za pewne poczciwe chęci, ma i pióro lekkie, styl potoczysty, ale za to brak mu gruntowności, powagi, głębszych przekonań, zasad pewnych a chrześciańskich, według których przedewszystkiem rzecz każdą literacką oceniać należy. „Półksiężyc" dziennikowy umie treść powieści uchwycić i oddać ją słowy barwnemi, ale cóż kiedy się ślizka po wierzchu, do gruntu nie idzie, o moralność, o cel, o pożytek istotny nie pyta. A to rzecz najważniejsza. Nie chodzi nam o popisywanie się dowcipem, o błyskotki stylu, — my pytamy się, czy powieść nie demoralizuje, przeciw kardynalnym prawom bozkim i ludzkim buntu nie głosi.

Recenzent pisał codopiero o najnowszéj powieści M. Bałuckiego: *Życie wśród ruin* i powieść tę wychwalał bezwzględnie i bezwzględnie polecał czytelnikom.

M. Bałucki jest pisarzem zdolnym; powieści napisał już niemało, lecz właśnie jego to dzieła przepełnione są tym fermentem rozkładającym, tym nihilismem, który burzy religią i zasady jéj podkopuje z całą świadomością. M. Bałucki nie cierpi kościoła i instytucyi jego, i wszędzie, w każdéj niemal swéj pracy prześladuje go, ściga, wydrwiwa. Owóż dla tego właśnie potrzeba z wielką oględnością brać do ręki powieści jego, i z wielką oględnością polecać. Że powieść jego: *Życie wśród ruin*, którą recenzent *Dziennika pozn.* uwielbia, mieści w sobie wiele niebezpiecznych ustępów i doktryny przewrotne głosi, to niech poświadczy następująca recenzya, wyjęta z najnowszego zeszytu *Przeglądu polskiego:*

Życie wśród Ruin przez Michała Bałuckiego. Nakładem F. M. Richtera stron 317 r. 1870. Powieść ta pod względem artystycznego wykończenia ma znakomitą wartość; mianowicie dwa pierwsze rozdziały: Ruiny zamku i Robotnik Speckbachera są rzadkiéj piękności i mogą walczyć o lepsze z płodami naszych najcelniejszych pisarzy. Wielką zaletą téj powieści jest, że wszystkie osoby zarówno interesują od początku do końca, chociażby ich udział w roztoczonym dramacie był jak najmniejszy, na chwilę téż czytelnik nie uczuje znużenia i żadnéj kartki z obojętnością nie przerzuci. O moralnéj treści téj książki tyle dobrego powiedzieć nie możemy. Dla autora zbrojne powstanie jest zawsze jeszcze ideałem narodowéj polityki, wszystka praca około podniesienia oświaty i dobrobytu o tyle ma wartości o ile wytwarza materyały do nowéj rewolucyi. Bez wątpienia każda praca, któraby w nas ścierała poczucie polskie, kosmopolityzowała nas, byłaby grzeszną i zbrodniczą, lecz po tylu smutnych doświadczeniach wierzyć w skuteczność rewolucyi, to coś gorszego niż lekkomyślność; jakiż rząd zresztą zezwolić może i zechce na swobodny rozwój oświaty i przemysłu, jeżeli one mają go narazić na nowe kłopoty; oświata i przemysł to dzisiaj większe potęgi niż zbrojne armie, a coby powiedziano o polityce któraby wymagała od wroga: daj nam broń i pieniądze bo my się chcemy bić z tobą! Nie jest że to upominaniem rządu aby oświacie i przemysłowi wszelkie możebne stawiał przeszkody! Zapewnie stronnicy zbrojnego powstania zarzucą nam, że się zrzekamy jedności i niepodległości Polski, a jeżeli się niezrzekamy, zapytują nas, w jaki sposób tę jedność i niepodległość przeprowadzimy, bo przecież ani stworzeniem nowego systematu filozoficznego, ani wynalezieniem najdowcipniejszéj maszyny, Polski nie zbudujemy — polska kwestya tylko krwią i żelazem rozstrzygnąć się może. Na takie zapytanie odpowiemy im, że mają zupełną słuszność; tylko nie w zbrojném powstaniu, ale w rozwiązaniu kwestyi porządku, bezpieczeństwa i cywilizacyi Europy należy szukać także rozwiązania sprawy polskiéj. Krew zapewnie płynąć będzie i Polska w téj walce udział weźmie, ino nie bez aliantów. Rozumie się że amatorowie polityki zbrojnego powstania gwałtownie i namiętnie występować muszą, przeciwko tym wszystkim, którzy ucho-

dzą za przeciwników téj teoryi, a do nich na pierwszym miejscu zaliczają rewolucyoniści Jezuitów. Dla dogodzenia téj namiętności pozwolił sobie autor digresyi od przedmiotu i bez potrzeby widocznéj nie wprowadził wprawdzie jezuitę do powieści, ale mówi o nim w sposób, który ma świat przekonać, że jezuita to synonim przewrotności, podłości, hipokryzyi, głębokiéj niewiary idącéj daléj niż Büchner i consortes i obrzydliwego cynizmu. Dziwimy się, jak pisarz z tak rozwiniętym poczuciem piękna, mógł podobną jaskrawością kolorytu dzieło swe zeszpecić. Nie pojmujemy w końcu, w jakim celu każe autor się domyślać, że Zofia i Alfred, kazirodczy z sobą zawierają związek. Czy to ma być ekspiacya potomków za winę ojca, o któréj szeroko mówi Roman, jeden z ukochanych bohaterów autora, ten sam, który stawia zasadę nieprzerwalności powstania, bo inaczéj jego teoryi nazwać nie można, chociaż autor Romana przed kilkoma miesiącami gdy Teka Stańczyka poważyła się napisać, że podobna teorya swęda się tu i owdzie w rozbitkach z roku 1863, przypuszczenie to nazwał haniebną denuncyacyą, a tych, którzy to przypuszczenie zrobili lub je podzielali, ochrzcił stronnictwem nieprzerwalności snu — z czegoby znowu chyba tę naukę wysnuć można: że stronnictwo, którego reprezentantem jest taki patryota jak Roman zawsze ma słuszność, czy jakąś zasadę głosi, czy się jéj wypiera, zresztą zasada nieprzerwalności powstania postawioną jest dla koła jednych czytelników a wyparcie się jéj dla drugich, nie ma w tém ani kłamstwa, ani niekonsekwencyi, jëst tylko spryt dyplomatyczny męża stanu, ale wróćmy do ekspiacyi. Zofia i Alfred nie wiedzą, że hr. Karski jest ich wspólnym ojcem i ze śmiercią hrabiego dowiedzieć się o tém nie mogą, trudno więc, żeby z tego powodu kiedykolwiek mogli uczuć zgryzotę i wyrzuty sumienia, kazirodztwo nie ma tutaj więc żadnéj moralnéj doniosłości, nie wywołuje żadnéj zgrozy i jest chyba tylko prostém amatorstwem podobnych sytuacyj.

Taka recenzya świadczy o sumienności krytyka, który wykazując piękne rzeczy, na złe, zgubne a szpetne nie patrzy przez szpary. Podobnéj sumienności wobec każdéj książki, którą będzie rozbierał, domagamy się i od pisarza w *Dzienniku poznańskim.*

Wiadomości potoczne.

— *Dziennik poznański* w num. 157, przynosi korespondencyą *z nad granicy Kongresówki*, w któréj takie rzeczy czytamy:

„Gazety rosyjskie, tak samo jak francuzkie i niemieckie, napadają na dogmat nieomylności Papieża. *Bezwątpienia ludzkość przyjdzie z czasem do tak wysokiego stopnia umoralnienia, iż każdy człowiek będzie mógł budować kościół w swojém własném sercu i czuwać nad swojém sumieniem bez pomocy duchownego.* Ale wtedy będzie królestwo niebieskie na tym padole płaczu! Dopóki jednak ta błoga nowa era nie nastąpi, *musimy* podlegać monarchicznéj władzy kościelnéj, jak wszystkie ludy, dążące do rządów republikańskich w świeckiém życiu, a nie przygotowane do tego, rządzone są dotąd przez koronowane głowy a czasami, co jeszcze gorzéj, przez dyktatorów nazwanych zwykłym terminem prezydentami, jak w Meksyku, środkowéj i południowéj Ameryce. Zachowaj nas Boże od podobnéj Rzeczypospolitéj, gdzie panują Juarezy, Lopezy i tym podobni bandyci. Opinia publiczna potępia zwołany Sobór w zasadzie; co do mnie przeciwnie, sądzę, iż zjazd biskupów ma tę swoją dobrą stronę, że przynajmniéj książęta kościoła ze wszystkich części świata katolickiego mają możność poznania się (!) wzajemnego ocenienia (!) porozumienia się (!) a tém samém (!) wzmocnienia naszéj świętéj wiary. Od czasu do czasu podobne powszechne zgromadzenia duchownych są koniecznie potrzebne.

Kościół nie może przyjąć form republikańskich, gdyż z podobnéj organizacyi wyrodziłaby się anarchia i tysiące sekt przeciwnych zasadom moralności, jak n. p. Mormoni i tyle innych. Władza więc kościoła monarchiczna, absolutna, szczególniéj w obecnym stanie rzeczy, kiedy moskiewska schizma codziennie nowe robi wyłomy w katolickim kościele, jest, śmiało można powiedzieć (!) pożądaną. Śmieszną nam się wydaje zawziętość, z jaką prasa moskiewska i zagraniczna gromi bezprzestannie Sobór a szczególnie dogmat nieomylności Papieża. Kiedy w stósunkach świeckich wszelka władza, zaczynając od koronowanéj głowy aż do ostatniego policyanta, jest nieomylną. U nas kozak z nahajką jest uosobioną nieomylnością.

Kiedy więc pierwszy lepszy sołdat, lub praporszczyk, albo jakiś sędzia mieszczanin, nie rządząc się bynajmniéj prawem ale fantazyą jedynie, może być nieomylnym, to dla czegożby pierwszy dygnitarz św. kościoła naszego, niemógłby również być nieomylnym w rzeczach dotyczących kościoła i sumienia, tém bardziéj, że tu nie z fantazyi ale konsekwentnie z tradycyi wyprowadzona być może zasada silnéj monarchicznéj organizacyi kościelnéj."

Długich komentarzy nad tymi potwornemi wywodami robić nie będziemy. Podkreśliliśmy zdania od razu każdego uderzające swą niedorzecznością. Zaprawdę, *nihilism* moskiewski jak najwyraźniejszy w tém wszystkiém — nihilism ten dopełni miary nieszczęścia, zupełny rozkład a zgniliznę moralną sprowadzi. Tego jeszcze potrzeba. Do tylu ran i wrzodów rak jeszcze, psujący siły i zdrowie z wiary płynące, przychodzi. Co za głębokość pomysłu, nieomylność Papieża, obok sołdata moskiewskiego stawiać! *Dziennik poznański* zatwierdzający swą nieomylnością ten nihilism z za Prosny, wierzy w przyszłość narodu. Jak toby być mogło?....

— *Posener Ztg* przyjęła na siebie rolę żandarma, zbira moskiewskiego i nietylko zagląda do kościołów katolickich, lecz i przy konfesyonale podsłuchuje i na kazania dybie. Praktyki téj trzyma się ona od dawna głównie względem księży Jezuitów. Jest w niéj nienawiść szalona ku tym czcigodnym Ojcom. Czytelnicy nasi wiedzą już, jak ich prześladuje wytrwale, jak denuncyjuje szkaradnie. Oskarżała ich, że nadużywają ambony i Sakramentu Pokuty: teraz jakoby na udowodnienie niegodziwych swych twierdzeń podaje wiadomość z Rogoźna, z któréj ma być widoczną to nadużycie konfesyonału. Oto jéj korespondencya:

„Welcher Art die Wirkungen der Jezuitenmission in unserem Grossherzogthum sind, lässt sich nach folgendem He

gang beurtheilen. Der katholische Knecht Zurdyk, bei dem protestantischen Vorwerksbesitzer Verch in Dienst stehend, erscheint auf dem hiesigen Polizeibüreau und lässt ungefähr folgende Erklärung zu Protokoll nehmen: „In Veranlassung der Mission, welche jetzt abgehalten wird, bin ich zur heil. Beichte gegangen. Der Jesuitenpater, dem ich gebeichtet, hat erklärt, die Vergebung der Sünden könne mir nicht eher zu Theil werden, als bis ich den Dienst bei einem Nichtkatoliken verlassen hätte. Auf meine Erklärung, augenblicklich könne ich das nicht ausführen, ohne gegen das Gesetz zu handeln und mich straffällig zu machen, hat er auch mich dann aufgefordert, mich an die Behörde zu wenden und von ihr zu verlangen, dass mein Dienstverhältniss bei Verch aufgelöst wird, damit ich der Gnade Gottes theihaftig werden kann, die mir durch heil. Sakramente geboten wird. Ich bitte also den p. Verch dazu anzuhalten, dass er mich aus dem Dienst entlässt." Dieser Fall ist sicherlich nicht der einzige seiner Art. Man muss vielmehr annehmen, dass der betreffende Pater nach einer allgemeinen Norm gehandelt hat und dass die Missionäre allen Katholiken, welche im Dienste Andersgläubiger stehen, die Absolution verweigern. Besonders empfindlich nun dürfte es für die deutschen Landwirthe werden, wenn ihre zahlreichen polnischen Dienstleute in solcher Weise gegen sie aufgehetzt werden. Wir sind daher gezwungen, uns an die Staatsbehörden mit der Bitte zu wenden, sie wollen dieselbe Sorgfalt, mit der sie die Thätigkeit der freigemeindlichen Prediger, welche gegen den unheilvollen religiösen Fanatismus auftreten, überwachen, auch den Dienern der Kirche gegenüber entwickeln, welche es sich zur Aufgabe stellen, *durch Missbrauch und Verdrehung der göttlichen Lehre* (sic!) diesen Fanatismus zu erregen. Durch eine solche im Interesse des Staates von uns geforderte Überwachung werden dann die Behörden im Stande sein, die nöthige Information über den Charakter und die Wirkung der Jesuitenmission zu gewinnen, welche sie bis jetzt noch nicht gewonnen zu haben scheinen. Dazu ist ferner nöthig, dass zunächst das Protokoll von der hiesigen Polizei eingeholt wird und dass man die Bürgermeister, Distriktskommissarien etc. aufgefordert, ihre Beobachtungen mitzutheilen. Haben sodann die Behörden sich gewissenhaft informirt, so wollen sie ebenso gewissenhaft sich die Frage vorlegen, ob sie nicht verpflichtet sind, den steuerzahlenden Staatsbürgern dieselbe Rücksicht angedeihen zu lassen, welcher sich die — soviel ich weiss — keine Steuer zahlenden, also exmittirten Jesuiten erfreuen. Das Publikum aber hat unseres Erachtens die heil. Pflicht, jede derartige Ausschreitung ohne irgendwelche persönliche Rücksicht mit genauer Darstellung des Thatbestandes durch die Presse zu veröffentlichen. Sonst haben wir es uns selbst zuzuschreiben, wenn solche Machinationen, die darauf berechnet sind, den religiösen Frieden zu stören, immer ungenirter betrieben werden."

Choćby ta wiadomość była prawdziwą we wszystkiém, skądże takie miotanie się szalone, skąd ta wrzawa przeciw księżom Jezuitom, skąd ich potępianie na podstawie jednostronnego świadectwa? Gdzież sprawiedliwość? Ów wyrobnik musiałby powtórzyć całą swą spowiedź, a wtedyby dopiéro pokazało się, na mocy czego odmówiono mu rozgrzeszenia.

Posener Ztg stawa w obronie religii, — obłudnica — ona, co nie wiedzieć do jakiéj się religii przyznaje, chyba do *fortschrittu....* Chce pokoju i zgody między ludnością przeciwnych sobie wyznań — a wciąż katolicki Kościół napada, łży, sługi jego prześladuje, nawet świętości zuchwałą ręką bezcześci....

Posener Ztg woła na władze, żeby w to wejrzały i Jezuitów pociągnęły do odpowiedzialności. I my wołamy, żeby raz przecie zajęły się tą sprawą, i żeby raz temu wyuzdaniu dzikiemu, napastującemu co chwila kapłanów katolickich, a obruszającemu do żywego uczucia katolickie, koniec położono.... Jest przecież rada na wszystko, a nie można ścierpieć, by jakie pismo niesumienne, nie znające zgoła wiary naszéj i jéj przepisów, wciąż a wciąż nas prowokowało....

Nie dość było *Posener Ztg* na powyższym doniesieniu: w 160. num. wybucha znowu gniewem i znowu denuncyuje. Oto co czytamy:

„Dass die Wirksamkeit der Jesuiten auf die ultramontanen Elemente des katholischen Klerus in unserer Provinz nicht ohne Einfluss bleibt, ersieht man aus folgender Mittheilung, die uns in Folge unserer gestrigen Korrespondenzen aus Rogasen zugeht. Bei einem hiesigen Kaufmann steht eine Frauensperson in Dienst, welcher der Beichtvater die Absolution verweigert hat, weil sie bei einem Juden dient. Das Mädchen hat in Folge dessen — nich ihren Dienst aufgekündigt sondern ist zur evangelischen Kirche übergetreten, um dort die Beruhigung und den Segen zu finden, welchen sie in der katholischen Kirche vergeblich zu erlangen suchte. Man sieht, die Ultramontanen sind unablässig bemüht, bei den gläubigen Katholiken Hass und Abscheu gegen die Ketzer und Juden zu erwecken; sie scheuen sich nicht selbst das Sakrament der Beichte zu missbrauchen, um ihr Ziel zu erreichen, welches ist: ein fanatisirtes, bigottes Volk, über das sie unbedingt verfügen können."

Kiedy *Posener Ztg* napadając Jezuitów, twierdziła, że nadużywają konfesyonału, a myśmy oświadczyli, że w tém leży bezczeszczenie i zohydzanie Instytucyi Pokuty św. — *Posener Ztg* rozumieć tego nie chciała. Dziś to sama wypowiada. Dziś utrzymuje, że nietylko Jezuici, ale i księża i świeccy nadużywają tego Sakramentu — czegóż chcieć więcéj? Jest to zamach strasznie zuchwały w czasach naszych i wśród naszych stosunków na rzeczy święte a nietykalne w Kościele.... Czyż to może być, by pismo nie mające wyobrażenia o katolicyzmie, tak zacięcie śmiało ciskać oskarżenia na księży katolickich, dziś, że ambony nadużywają, jutro, że Sakramentu Pokuty — a tak kolejno wszystkiego? Ostatecznie żaden dogmat się nie ostoi katolicki, a o wolności religijnéj mowy nie będzie.

Quosque tandem?....

— *Sowremiennaja Lietopis* zamieszcza list z Wilna donoszący, że księża Żebrowski i Narkiewicz, będący nauczycielami gimnazyum, wzbronili się rozdawać uczniom rosyjskiego przekładu: „Wyimków z Ewangelii", powołując się na polecenie ks. Bowkiewicza, administratora dyecezyi wileńskiéj w 1864 r., który im zakazał dawać książek rosyjskich uczniom, niepotwierdzonych przez Stolicę św.; dalej tłumacząc się, że w czytaniu ewangelii u katolików potrzeba specyalnego pozwolenia władz duchownych, że są błędy w samem tłumaczeniu, i że Polacy nie chcą używać rosyjskiego języka do nabożeństwa. *Mosk. Wiedom.* donoszą również, że biskup Wołonczewski polecił odebrać książki rosyjskie od uczniów swojéj dyecezyi.

Nakładzca i Redaktor ks. Stagraczyński w Poznaniu. — Czcionkami drukarni Tygodnika katolickiego (A. Schmaedicke) w Poznaniu. W komisie L. Streisandta w Grodzisku.